

Rok VI.
Kraków, dnia 28 stycznia 1912 r.
Nr. 4.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Muzyka w dawnej Polsce.

Zaczął się karnawał a z nim tu i ówdzie rozruszali się ludziska. Z niejednego domu wydobywają się skoczne tony skrzypek, a bas swym grubym głosem buczy im do wtóru. Czasem gdzieniegdzie odezwie się głos klarnetu lub trąbki, rzadziej da się słyszeć flet lub bęben. I oto prawie wszystkie instrumenta muzyczne używane w naszych wioskach.

W dawniejszych czasach praojcowie nasi używali wielu narzędzi muzycznych, które dziś poszły już w zupełne zapomnienie. Wesoła kolenda ludowa z 17 wieku zaczynająca się od słów: »Anieli się w niebie cieszą« wymienia kilka narzędzi muzycznych, na których w owe czasy grywano. Mówi ona między innemi tak:

> Stach najpierwszy na swym *Rogu* rozpoczął rżnąć chwałę Bogu. Wach na *Lirze* rzeżko gmyrze; Jacek Krupa w *Drumlę* chrupa; Janusz bzdurze na *Bandurze*; Sobek sobie w *Kobzę* skrobie; Wojtek ryczy na *Basicy*. Knapik wali na *Regali*, Wawrzko chełce na *Szurmeczce;* Kuba Łyczek złamał *smyczek*. Stasiek z Dębni w *Kotły* bębni, Fabijanek trąbi w dzbanek, kurantów z konwic dobywa, temu owemu nalewa. Tomek doi na *Oboi*, Kopet kraje w *Szałamaje*, Filip plecie na *Kornecie*, Kryś bełkoce na *Fagocie*, *Arfy* z sobą nie przynieśli, naprawić ją dali cieśli. Z *Tub-maryną* Bartek prostak, idąc przez wieś, w karczmie został.

Z powyższej kolendy widzimy, że w owych czasach było wiele narzędzi muzycznych, z których znacznej liczby obecnie nie znamy. Wynikałoby z tego, że nasi praojcowie lubili bardzo muzykę i śpiew, a może być, iż życie ich było weselsze, bo nie musieli tak ciężko walczyć o chleb codzienny, jak my obecnie walczymy.

Ale nietylko nasze Staszki i Bartki zajmowały się śpiewem i muzyką, lecz i ludzie piastujący wysokie godności, chętnie im się oddawali.

Jan Łodzia, biskup poznański (zmarły 1346 r.) nie znał chwil szczęśliwszych nad owe: »gdy sobie doma gwoli wesołości na cytarze przygrywał«.

Arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj, oprócz cytary rozkoszował się w »luteń, trąb, piszczałek i reszty gędzielnych narzędzi chórze«.

Aldona, żona Kazimierza Wielkiego, Litwinka, lubiła się otaczać chórem śpiewaków i grających na bandurach, cytarach i lirach, zaś Aleksandra Olgierdówna siostra Jagiełły, przyjeżdżając do Krakowa na dwór brata, woziła z sobą flecistów nadwornych.

Na dworach pańskich używano dwóch rodzajów narzędzi muzycznych; do krzykliwej muzyki brano kornety, fujary, sztorty, szałamaje, pomorty, regał, skrzypice i puzony; zaś do cichej, zwanej gędźbą lub gędzeniem — lutnie, arfy, padwany, flety i mutety. Włościanie natomiast lubieli najlepiej skrzypice, dudy i bęben z brzękadłami.

U mieszczan lwowskich używano powszechnie klawikordów, lutni i pozytyw; cyganie grywali na gandziarach, zaś żydzi na cymbałkach.

Instrumenta te muzyczne z biegiem lat poczęły znikać z użycia coraz bardziej a z nimi znikały chęć i zamiłowanie do muzyki. Ludzie przytłoczeni ciężarem pracy oddawali się mniej wesołości a smutek stawał się ich towarzyszem. Dziś wprawdzie tu i ówdzie odzywają się skoczne dźwięki narzędzi muzycznych, zwłaszcza w czasie karnawału, ale z narzędzi tych pozostały tylko niektóre, jak skrzypce, basy, flety i klarnety.

Wesoła muzyka, nie psuta pijatykami i niemoralnemi piosnkami musi mile odbijać się o uszy nietylko ludzi młodych ale i poważnych i rozpraszać niejednokrotnie smutki i strapienia z ich czół poważnych. Skromna zabawa i taniec przy dźwięcznej muzyce staje się przyjemnym dla ciała a często i ducha odświeża i odmładza.

BEREZYNA.

Powieść historyczna z r. 1812.

Odparty atak.

Mimo czynów chwalebnych, sytuacya Torunia, po utraceniu szańca przedmostowego, jest prawie rozpaczna. Most nieprzyjaciel jest w możności łatwo naprawić, kolumny mogą lada chwila ponowić atak, przebyć mosty i opanować szaniec na kępie, skąd już jeden tylko krok do zdobycia miasta.

Widzi niebezpieczeństwo jenerał Woyczyński i cały ratunek pokłada na niewyprowadzonym jeszcze do boju batalionie pułku 12.

— Dajcie mi oficera, na którego roztropności i męstwie mógłbym polegać zupełnie! — zwraca się do szefa batalionu Rutkowskiego.

Ten przywołuje porucznika Białkowskiego.

— Możesz, jenerale, zaufać mu bez obawy.

Jenerał przenikliwem spojrzeniem mierzy od stóp do głowy młodego oficera, który wyciagnął się jak struna przed komendantem.

— Bierz waćpan dwie najlepsze kompanie, dotrzyj z niemi na drugi koniec mostu, wspomóż Szembeka i zapal most w oczach nieprzyjaciela. Jeśli tego nie dopełnisz, wiesz, co cię czeka — dodał tonem surowym.

— Wiem, jdnerale, kula w łeb — odpalił, nie zmieszawszy się zgoła, porucznik.

Woyczyński uśmiechnął się niedostrzeżenie pod siwym wąsem.

— Kiedyś taki rezolut, to ci ufam — przemówił łagodniej. — Ruszajże wnet, a poczynaj sobie roztropnie.

Porucznik Białkowski, salutując, uczynił foremny zwrot na miejscu i miał się ku odejściu, gdy naraz przed jenerałem stanęła postać oryginalna oficera iście starej daty. Chudy i wysoki, jak tyka, mogący mieć lat blisko 60, z wąsami koloru konopi, zwisającymi na ramiona, był uzbrojony w parę długich pistoletów i pałasz, z ostrogami przy butach mimo, że należał do piechoty.

— Jenerale komendancie, pozwól mi tej poczty honorowej — przemówił basem głębokim.

Woyczyński bystrem spojrzeniem zlustrował od stóp do głowy tę postać dziwaczną.

— Kto waćpan jesteś? — zapytał.

Śmiesznie długa postać oficera wyciągnęła się jeszcze bardziej.

— Dzięgowski, podporucznik pułku 5 piechoty, jenerale — wyrecytował zapytany.

Woyczyński, widząc przed sobą tę postać marsową, zdawał się wahać przez chwilę. Stojący obok Rutkowski podszepnął zcicha:

— Białkowski ma wyższą szarżę, jenerale.

Jenerał-komendant skinął głową.

— Masz waćpan słuszność. Porucznikowi Białkowskiemu należy się pierwszeństwo — zwrócił się do Dzięgowskiego tonem kategorycznym.

— W takim razie podaję się na ochotnika — nie dając za wygraną, odezwał się Dzięgowski.

— Tego nie mogę nikomu zabronić — odrzekł jenerał.

Dzięgowski odsalutował, poczem zbliżył się do Białkowskiego.

— Idę pod waściną komendę, mości poruczniku — zameldował się służbiście.

W kilka minut potem dwie wyborowe kompanie pułku 12, mając na swem czele porucznika Białkowskiego, wychodziły z bramy ku Wiśle. Nieprzyjaciel, mając swe działa ustawione na pozycyi daleko wyższej, w tym momencie wywarł na obie kompanie piekielny ogień. Odrazu padło kilkunastu ludzi. Nie tracąc ani chwili, Białkowski zakomenderował:

— Broń do ataku! Przez most biegiem!

Runęły szeregi naprzód, ile tchu było w piersiach i w mgnieniu oka, śród waru kul, przebiegły całą długość mostu. Tam oczekiwał wsparcia nieustraszony Szembek, mając przy sobie walecznych niedobitków swych grenadyerów. Ruszono naprzód ławą, pierś przy piersi. Dopadli ostatniego przęsła i, skacząc przez zerwane dyle, stanęli oko w oko z batalionami ćwiczonych Wołochów. Na oślep, z furyą zajadłą rymnęli bagnetami w te rzędy niewidzianego nigdy przedtem wroga, w ten szereg szerokich piersi, ze skrzyżowanymi na nich białymi pasami. Nie strzymali Wołosi furyi natarcia i zostali odrzuceni na kroków kilkadziesiąt w tył od czoła mostu.

Wówczas porucznik Białkowski przystąpił do najgłówniejszego dzieła. Własnemi rękoma rozpalił t. zw. smolne wieńce. Zaczem, potrzebując kilkorga rąk do pomocy, krzyknął ku swoim:

— Bywaj mi który! Na ochotnika!

Z szeregu wyskoczyło dwu: kapral Mickiewicz i żołnierz Boruszewski. We trzech, pod gradem kul austryackich, przypadli do nawpół rozebranego przęsła mostu. Tu, śród najgroźniejszego niebezpieczeństwa, zdołali w krótkiej chwili na belki i dyle mostu nałożyć płonące wieńce. Ogień począł się szerzyć w momencie. Całe przęsło w jednej chwili zostało objęte pożarem.

Wnet świeża kolumna austryacka, pod dowództwem pułkownika Bruscha, szefa sztabu jenerała Mohra, rzuca się do ataku, chcąc za wszelką cenę ocalić most od zniszczenia. Porucznik Białkowski przypuścił ją na 50 kroków i dopiero wówczas kazał swoim kompaniom dać ognia. Mimo celności strzałów, nieprzyjaciel, zagrzany przykładem dowódcy, przyspiesza kroku. Białkowski z rozpaczą w sercu spostrzega, że jego oddział jest zbyt nieliczny, aby wstrzymać i odrzucić świeżą kolumnę austryacką. Skuteczne wsparcie byłaby w stanie dać artylerya w szańcu na kępie, lecz baterya ta uparcie milczy.

Białkowski zdaje komendę Szembekowi, sam zaś wpada do szańca na kępie. To stanowisko ma poruczone pułkownik Mielżyński.

— Pułkowniku! — woła z desperacyą porucznik. — Na miłość boską, skierujcie ogień bateryi na przyczółek mostu, inaczej nie wstrzymamy nieprzyjaciela!

Mielżyński niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Dobryś sobie! Każesz strzelać, chyba powietrzem? Garści prochu, ani jednego pocisku niema w szańcu!

Istotnie, szańca na kępie nie opatrzono wczas z miasta amunicyą.

Białkowski na tak niespodziewany zawód zbladł śmiertelnie. W tej chwili na moście głucho zadudniły furgony.

— Nareszcie! — z głębi piersi odetchnął Mielżyński.

Za moment zielone jaszczyki stanęły w obrębie szańca.

— Zdejmować amunicyę z wozów, co tchu! — rozkazał pułkownik.

W tym momencie istny grad pocisków karabinowych i armatnich spadł na szaniec. Niewykończony i zbyt niski parapet nie dawał osłony dostatecznej wałom wewnętrznym szańca, z czego skorzystała artylerya austryacka, zasypując szaniec deszczem żelaza.

— Do wozów! — powtórzył rozkaz Mielżyński.

Rozkaz nie odniósł skutku. Furmani i kanonierzy pouciekali od worków z nabojami. Nikt, mimo

rozkazu i groźby, nie kwapił się na śmierć niemal niechybną. Każda chwila stanowiła o losie mostu, i co za tem idzie, o losie Torunia.

Wówczas porucznik Białkowski jednym skokiem stanął na wozie. Oderwał i uniósł ciężkie, zielone wieko skrzyni, podparł je plecami i oburącz począł wyrzucać ładunki z jej wnętrza na ziemię. W moment uporał się z jednym wozem. Wówczas zeskoczył na ziemię w zamiarze wyładowania następnych. Lecz w tej chwili pułkownik Mielżyński uchwycił go mocno za ramię.

— Dosyć tego! — zawołał tonem, nie znoszącym oporu. — Nie pozwolę, abyś się dłużej na takie niebezpieczeństwo narażał. Patrz, wieko skrzyni przedziurawione, jak sito, a ciebie los szanował. Jakoż w wieku skrzyni świeciło trzynaście dziur od kul karabinowych i jedna od armatniego pocisku.

Kanonierzy, zawstydzeni czynem tak niezwykłej odwagi, rzucili się bez komendy do nabijania dział. Porucznicy stanęli u celowników. Padły wyrazy komendy. Kanonierzy przytknęli lonty do zapałów. Działa odskoczyły w tył — i siedm gromów huknęło.

Rażona tą salwą atakująca kolumna austryacka zmieszała się i cofnęła bezładnie. W tym właśnie momencie powracający pospiesznie na swe stanowisko porucznik Białkowski spostrzega pierwsze szeregi piechurów austryackich, przedzierające się przez płomień i odrzucające bagnetem jego kompanię od pierwszego przęsła. Waleczny pułkownik austryacki przewodzi kolumnie własną osobą, zagrzewając piechurów przykładem zuchwałego męstwa. Na tę scenę nadbiega Białkowski. Wyrywa szpadę i pokazuje nią cofających się żołnierzy, pragnąc powstrzymać tylko szeregi. Podnosi grzmiący głos ponad wrzawę walki, zachęcając swoich do wytrwania.

Wysiłek daremny! Tłoczące się zwartą ławą szeregi odpychają go w tył, unosząc wraz z sobą wzdłuż wąskiego pomostu.

Naraz na przodzie ukazuje się wysoka postać podporucznika Dzięgowskiego. Zatrzymuje się przez moment sam jeden w środku mostu, zwrócony surową twarzą ku nieprzyjacielowi. Tuż, tuż przed nim, z płomieni i dymu wynurzają się osmalone, dyszące mordem, twarze piechurów austryackich. Błyska groźnie fala stalowych bagnetów. Na przedzie z szablą obnażoną w ręku, biegnie pułkownik Brusch.

Dzięgowski pali mu prosto w piersi ze swoich długich pistoletów. Pierwszy szereg wstrzymuje się nad ciałem swego pułkownika. Wszczyna się raptowny popłoch. Żołnierze unoszą na ręku stygnące zwłoki dowódcy.

Płomień trawi most przęsło po przęśle. Po niejakim czasie przed przyczółkiem zjawia się sztabsoficer austryacki, mający przy sobie trębacza. Jest to parlamentarz. Ponieważ część strawionego ogniem mostu już odpadła, przeto z kępy wypływa na łódce oficer polski dla porozumienia się z parlamentarzem.

Jenerał Mohr, w imieniu arcyksięcia Ferdynanda, żądał natychmiastowego poddania Torunia, grożąc w razie oporu rozsypaniem miasta w gruzy. — Komendant Torunia, jenerał Woyczyński, tegoż dnia przez adjutanta placu, kapitana Luksa, odesłał odpowiedź odmowną; kapitulacyi nie przyjmuje, bronić się będzie, póki jedna cegła pozostanie na miejscu.

Ryknęły działa austryackie, wszczęła się gwałtowna kanonada ze wszystkich naraz bateryi. Odtąd w ciągu trzech dni grad bomb i pocisków leciał nieprzerwanie na szaniec na kępie, na twierdzę i miasto. Spustoszenie szerzyło się w okrąg. Baterye polskie odpowiadały w miarę sił, garnizon stał pod bronią w noce i we dnie.

* * *

Budził się świt. Srebrno-perłowa świetlistość powlokła obszary spokojnych toni. Na wschodzie zwolna zażegał się różany obrzask. Trzciny szeleszczą.

Z szuwarów wysunęła się cicho łódka rybacka. Stary rybak, o włosach białych jak mleko, począł zwolna wiosłować, trzymając się ostrożnie pasma przybrzeżnych zarośli. Rozglądał się z trwogą, nasłuchując, czy nie usłyszy strzałów, które od kilku dni trzymały go zdala od ryborodnej toni. Dźwięk żaden nie mącił niewysłowionej ciszy poranku.

Ośmielony rybak zaczął wiosłować dalej. Posuwając się zwolna w kierunku spalonego mostu i opłynąwszy kępę trzcin, zdziwiony głęboką ciszą, ostrożnie wyjrzał na wybrzeże. Jeszcze wczorajszego wieczoru obozowali tu Austryacy. Lecz brzeg, nadbrzeżne błonia i cała płaska okolica, aż po daleki widnokrąg, była spokojna i pusta.

Wówczas twarz starego rybaka rozpromieniła się jasnością, równą słońcu, odblaskiem wewnętrznego rozradowania. Stara pierś zachłysnęła się od nagłego przypływu uczuć wezbranych. Stanął w swej łodzi w wyprostowanej postawie. Obrócił się ku uśpionemu na tamtym brzegu miastu i zwinąwszy drżące dłonie około ust, huknął z całej mocy:

— Hej, Polacy, bywajcie! Austryaki uciekły! Niema żadnego!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kajdany.

(P. J. K. na pamiątkę).

Na ziemię spadł śnieg biały,
Przypruszył łąki i pola,
Pod puchem jego śpi rola;
Śpią skały...

Jakiś się smutek rozlewa,
Czuję go dzisiaj w swej duszy,
Co wiatr zimowy ją głuszy,
Gdy śpiewa...

Wszystko, jak zimna mogiła,
Jak głosy martwe i groby;
Czy już godzina wybiła
Żałoby?

Czy przeszła w białym rantuchu
Przez świat i z kosą w swej dłoni
Że wszystko dzisiaj łzy roni
...O! Duchu!...

Czy już mściciele wymarli?
O nie! Ci wstaną z krwi kości!
Pójdą wśród groźnych ciemności —
Nie karli!...

Czy pogrzebowe już dzwony
Zagrzmiały pieśnią spiżową?...
Czy anioł z różdżką palmową
Zwalczony?

O, nie! On wielki! — on żyje
I słońce z wiosną rozpali
I pancerz lodu rozwali,
Rozbije...

Niewoli pęta tak ludu,
Tak znikną nędze, katusze,
Gdy miłość zaklnie mu duszę
W moc cudu...

Wtenczas z pomroków tej nocy
Blask słońca świat ten obleje
Polska koronę przywdzieje
Swej mocy!...

W Tatrach się zbudzą żołnierze,
Co dotąd w skałach drzemali
I na zaklęcie czekali
Tak szczerze!

Robert Rydz.

Podarek Szczęścia „Roli“.

Podajemy tu nazwiska prenumeratorów, którzy wygrali książki oprawne p. t.:

„Rolnik Wzorowy“

(cena 2 kor. 60 hal.).

2 Antoni Rachwalski, **38** Jan Hadała, **39** Jan Filipiak, **44** Aniela Stana, **62** Józef Ruczka, **75** Stanisław Zdebski, **102** Wojciech Domaradzki, **108** Tomasz Kawalec, **121** Antoni Bajger, **134** Stanisław Koczwara, **139** Piotr Jała, **151** Rudolf Kula, **161** Józef Kubala, **170** Józef Stęchły, **182** Michał Zając, **202** Józef Kaczmarczyk, **204** Michał Biłas, **208** Michał Rożek, **217** Jan Prząda, **222** Karol Cyganek, **235** Franciszek Pokorny **254** Paweł Juroszek, **260** Karol Cieślar, **278** Piotr Jaworczak, **285** Dziuda Szczepan, **332** Jakób Potoczny, **340** Jan Folten **360** W. Stec, **375** Wojc. Kapuściński, **378** Franc. Bądek, **385** Wojciech Moroń, **400** Józef Sacha, **415** Wojciech Tarnawski, **421** Władysław Dziuban, **465** Al. Czakon, **553** Piotr Kałuża, **585** Jan Czekaj, **590** Tomasz Knysz, **632** Stanisław Polok, **645** Józef Maślanka, **668** Jan Michałek **669** Paweł Heczko, **670** Paweł Siostrzonek, **675** Jan Skowronek, **695** Karol Puzio, **720** Izydor Płachta, **729** Jan Danek, **738** Józef Kurtyka, **751** Piotr Bielecki, **755** Karol Stwiertnia, **773** Wojciech Lubas, **777** Jan Bratek, **817** Władysław Dubaj, **848** Wojciech Rusinek, **860** Stanisław Studolak, **868** Władysław Wroński, **870** Józef Zbieg, **873** Michał Solak, **893** Jędrzej Bogacz, **911** Karol Małecki, **930** Franc. Kidoń, **939** Jan Duda, **949** Jędrzej Kopta, **951** Józef Guzowski, **981** Piotr Koper, **1015** Jan Babik, **1025** Karol Galocz, **1054** Maciej Janus, **1063** Józef Pisarek, **1069** Piotr Durbos, **1100** Wojciech Szeleźnik, **1103** Tomasz Łukawski, **1118** Wojciech Gołyżniak, **1128** Antoni Łopata, **1138** Gaweł Śrutek, **1145** Szczepan Paweł, **1194** Karol Gawęda, **1208** Jan Płodzień, **1229** Jan Matula, **1237** Józef Kwiecień, **1274** Karol Mieszczak, **1291** Paweł Koniorczyk, **1293** Franciszek Kurowski, **1295** Wojciech Pawlik, **1321** Paweł Nowotaniec, **1328** Franciszek Budzisz, **1330** Jan Wrona, **1364** Karol Zając, **1387** Michał Kidoń, **1395** Józef Grzybowicz, **1425** Jan Szczepaniak, **1458** Franciszek Sowa, **1463** Franc. Warmus, **1464** Jan Urban, **1475** Jan Brzezina, **1483** Adam Zieliński, **1495** Piotr Rokosz, **1515** Józef Bor, **1517** Paweł Heczko, **1521** Jan Stachura, **1544** Wawrz. Potoczny, **1545** Wojciech Żurawski, **1569** Alojzy Popiołek, **1581** Tomasz Rachwalik, **1604** Ignacy Malik, **1610** Jan Liptak, **1650** Stanisław Wiącek, **1651** Józef Matusik, **1669** Rudolf Migdał, **1680** Józef Bogdan, **1684** Maciej Golas, **1690** Jędrzej Ciepiela, **1702** Franciszek Pchełka, **1707** Józef Trznadel, **1745** Jadwiga Kobylańska, **1783** Marek Smoła, **1792** Jan Lipka, **1804** Jan Mucha, **1825** Józef Drąg, **1875** Józef Pączek, **1908** Michał Popowicz, **1968** Tomasz Depa, **1982** Ant. Więcek, **1992** Józef Gawle. **2005** Franciszka Stanek, **2028** Jakób Kutyna, **2055** Adam Świątek, **2202** Tomasz Tonia, **2207** Jan Błasztów, **2258** Jędrzej Stawowy, **2303** Franc. Pluta, **2315** Jędrzej Rak, **2327** Jan Zelek, **2328** Józef Kucia, **2329** Karol Zdybek. **2341** Jan Pstruś, **2363** Jan Prus, **2374** Józef Waszek, **2393** Jędrzej Pelczar, **2404** Piotr Frączek, **2413** Karol Bania, **2414** Wojciech Szocik, **2417** Józef Urbanek, **2481** Stanisław Żołądź, **2515** Józef Lebiedzik, **2522** Jędrzej Nosek, **2589** Stanisław Bulek, **2593** Jan Pactwa, **2595** Franciszek Święch, **2603** Jan Stachnik, **2621** Jan Florek, **2661** Jan Złotek, **2675** Tomasz Matuszyk, **2723** Jan Mikula, **2768** Karol Strzok, **2785** Marcin Kowalczyk, **2794** Marcin Lachowski, **2808** Antoni Pelz, **2824** Wojciech Homa, **2865** Władysław Grębski, **2870** Walenty Sudoł, **2880** Józef Sipiora, **2881** Antoni Krajka, **2885** Michał Grębosz, **2887** Józef Cebula, **2890** Franciszek Feruga, **2898** Jan Kozioł, **2905** Wojciech Takuski, **2912** Jan Makuch, **2943** Jan Tomis, **2944** Józef Tendrysik, **2971** Stanisław Bogdanik, **2980** Jan Łacki, **2993** Michał Sasak, **2998** Jan Babula, **3069** Walenty Kłosek, **3082** Szymon Gwizda, **3147** Jan Starnowski, **3158** Marcin Wydro, **3163** Ludwik Sadeł, **3184** Antoni Lampart, **3247** Jan Czepiec, **3329** Józef Homyszyn, **3417** Franciszek Burta, **3461** Józef Kowalski, **3555** Szymwn Nos, **3737** Władysław Gwiazda, **3783** Rudolf Halfar, **3848** Adam Mierzyk, **3929** Jan Cygar, **4029** Katarzyna Włosowa, **4135** Jan Oskomy, **4212** Antoni Prądny, **4247** Michał Kowalski, **4268** Koło Macierzy śląskiej, **4329** Wawrzyniec Boczar, **4382** Jakub Wojna, **4458** Szymon Kmiecik, **4501** Jan Rózycki, **4549** Błażej Rozkosznik, **4571** Jan Ozga, **4589** Filip Kudła, **4633** Ignacy Mijał. **4613** Franciszek Michnik, **4622** Józef Kopera, **4660** Adam Janczy, **4758** Franciszek Adwokat, **4817** Karol Lewek, **4839** Józef Wędra, **4872** Maryanna Wilkówna, **4927** Ks. Karol Adamczyk, **4928** Jan Szymusik, **5165** Ks. Wawrzyniec Mytko **5231** Jan Ważny, **5292** Michał Berski, **5561** Antoni Czopek, **5580** Apolinary Homa, **5612** Jan Rabski, **5634** Jakób Mizia, **5780** Franciszek Szeliga, **5783** Szymon Kosowski, **5799** Wiktorya Hmyz, **5813** Walenty Starczyk, **5865** Alojzy Kuszel, **5870** Stanisław Biegajski, **5945** Szymon Trzeciak, **6022** Wincenty Kwater, **6030** Henryk Mężyk, **6058** Michał Kot, **6060** Franciszek Wałaszek, **6074** Antoni Rusinek, **6078** Zygm. Kępa, **6083** Stanisław Małoga, **6089** Ludwik Grela, **6094** Paweł Zahraj, **6112** Piotr Porębski, **6119** Wojciech Górniak, **6135** Wincenty Kurowski, **6154** Wawrzyniec Macioł, **6159** Piotr Wątor, **6172** Józef Januszkiewicz, **6208** Marcin Jasieńko, **6217** Józef Maziarz, **6222** Jan Cieluch, **6253** Paweł Cyroń, **6262** Józef Janyga, **6304** Stanisław Koza, **6308** Andrzej Kuder, **6359** Jan Mróz, **6370** Józef Puchałka, **6414** L twin Bronisław.

Książki te wysyłamy tym, którzy wygrali, po nadesłaniu **60 halerzy** na koszta przesyłki.

Powtarzamy, że **każdy wygrywający** powinien podać swój numer przy przesyłaniu pieniędzy, a jeszcze lepiej **załączyć opaskę** zdjętą z któregokolwiek numeru. Bez otrzymania numeru wygranej posłać nie możemy, gdyż wobec wielkiej liczby wygrywających szukanie jest trudne i wymaga dużo czasu.

W końcu ponownie donosimy, że kto chce otrzymać wygrany przez siebie Podarek Szczęścia, musi pieniądze wysłać do końca stycznia, a zatem **już zaraz**. Kto się po wygrany Podarek nie zgłosi do końca stycznia, potem go nie otrzyma, gdyż widocznie mu nie zależy na nim, skoro mu się nie spieszy. Dlatego wszystkie nieodebrane Podarki rozdamy w pierwszych dniach lutego pomiędzy innych prenumeratorów całorocznych, mianowicie urządzimy

Losowanie Dodatkowe.

pomiędzy prenumeratorów ponad Nr 6416.

Prosimy zatem o pośpiech!

PRZEWODNIK.

W dzikim stepie na Ukrainie rozłożyli się obozem Turcy. Mieszkańcy przerażeni ich najazdem, wysłali jednego z pośród siebie, aby dał znać Polakom o ich obozie. Przewodnik podążył do obozu polskiego, a wskazując drogę Polakom, poprowadził ich na obóz turecki i ułatwił tem pokonanie nieprzyjaciela.



Wojtkowa baba.

Słońce czerwone chusty rozwiesiło nad senną swą głową i ułożyło się cicho za skrajem lasu na kotlince w śniegu. Zimno mu, to się kuli, wcześnie spać idzie, a gdy raz przytuli się do ziemi, to śpi i śpi, o mało że nie do południa. Nie dziw — człek żeby mógł, toby też jeno ciągiem spał a spał; pojadłby se trocha, fajczynę zakurzył i dalejże na przypiecek. Słońce pan, słońce król — może... Jemu służą promienie zimą i latem, grzeją, poją, otulają je, a człek, żeby ino leżał w zimie, to ktoby gadzinę napoił, albo jeść dał, albo sieczki narznął, albo chabin z lasu nawiózł i narąbał? Zmarniałaby gadzina, zmarniałby człek, chocia i pod pierzyną a zaśby też nie zmarniał do cna, to skądby wziął ziarna na wiosenne sianie?

Wie o tem Wojtek gospodarz, więc choćby se z duszy posiedział za przypieckiem, fajeczkę pokurzył, dokładając drewek na ogień i gwarząc z Magdą, musi oto w stodółce walić a walić cepami odkąd się rozwidni aż na Anioł Pański zadzwonią. Poje se coś niecoś, zwyczajnie jak na krótkim dniu, zakurzy krzynę w izbie i znów do stodoły idzie na młóckę.

Niewiele tam tego w zastroniu, ale zawsze.... Nająć nijako, centów szkoda. Dziecka jeszcze małe, Magda nie siłaczka; niechże się kręci po izbie wele drobiazgu. On sam mało pomału, podoła zmłócić. Co tam baba przy ciężkiej robocie warta! Mało pomoże a potem stęka a stęka. Nie lepiej to, że człek w stodole trochę poharuje a zato, jak przyjdzie do izby, kobieta wesoła, jak słoneczko, jeno ślepie się śmieją, dziecka czyste, ogarnięte, aż pogłaskać miło, polewka nie przypalona, omasta aże pachnie. Że ta człek zmachany setnie, to co? To mu lepiej jadło smakuje, a jak ci baba ustawi na ławie i powie:

— Jedz, Wojtuś, jedz! — to masz za całą fatygę zapłacone.

W izbie ciepło, czysto, umieciono, nad łóżkiem obrazy błyszczą, niczem w kaplicy, tak to ubrane śtucznie w różne wieńce a kwiaty. Kiedy słońce do wnętrza chce zajrzeć bez okienko, to się musi przedzierać bez te krzaki zielone, co stoją kieby latowy ogródek. Już to u Magdy taka natura, że wszystko chciałaby mieć jak w kościele.

Tak, jakoś po weselu, to Wojtka czasem kusiło iść pogwarzyć z sąsiadami przy kubku, ale nie u Szlomy, broń Boże, bo go żyd z dawien dawna mierził, ale u Wicka w gospodzie; Magda zaś tak spekuluje zawdy, że ani rusz z domu na pogawędkę, chyba z nią gdzie do kmotrów.

W niedzielę po nieszporach Wojciech powiada:

— Magda, pójdę krzynę zajrzeć do Grzeli albo do Marcina, wrócę w te pędy... a Magda jeno popatrzy tak, aż ci w duszę zajrzy i mówi:

— Wojtuś, daj jeno spokój! Czy ci to źle doma? Uwarzę herbaty z imbirem a cni ci się z swoją gadać, to pchnę Józka po Grzelę albo po Pietra. — Posiedzą se u nas, pogwarzycie... Toli i ja ciekawa, co się w świecie dzieje a nie idę, choć mnie kobiety ściągają do siebie duchem.

Jak tu nie posłuchać, kiedy niechby się jeno zamroczyła, to tak wedle serca markotno, kiejby pokrzywami piekł. Ostaniesz, to ci gazetkę skądsić ze skrzynki wydobędzie, posadzi na ławie, pogłaszcze.

— Czytaj, Wojtuś, czytaj! pożyczyłam na dziś tego pisma, coby ci się nie cniło.

Człek rad nie rad siada a jak pocznie czytać, to mu już okrutnie dobrze na duszy. Magda cichutko stawia warzyczek przy ogniu, dzieciska do ojca się garną: jedno o stół się oparło i patrzy w gazetę, kieby w malowanie, a drugi pędrak uczepił się na kolanach, głowinę oparł o ramię i cichutko dycha, jak w kościele, a słucha, jakby coś niecoś rozumiało.

Teraz to wiedzą kumotrzy o takim u Wojciecha porządku. W samą porę, jak już imbir pachnie w izbie, a woda wre w warzniczku, otwierają się drzwi i słychać chrześcijańskie pozdrowienie. Wchodzi kum jeden za drugim, niekiedy to i baba albo dziecko niektóre i słowo do słowa pogwarzą, herbatkę popijając, co Magda w kubkach nastroiła.

Ani się człek spostrzeże, kiedy sąsiedzi żegnać poczną; każdy do chałupy wraca z gotowem na jutro obmyśleniem. Jeden cielę na jarmark powiedzie, drugi prosię, ten koniczu furę. Niech im Bóg szczęści. Wojciech rzadko na jarmarkach, bo ksiądz proboszcz słusznie z ambony mówi, co to jeno takie brzydkie przyzwyczajenie po próżnicy co tydnia na jarmarki się wlec. Albo nieprawda? Gadzinę człek zmizeruje, sam zmitręży dzień jeden, potem na odpoczynek drugi, nie szkoda to świętego czasu?

Jednego roku był we wsi na letnisku taki pan, co umie robić kosze. Jego żona i dwoje dzieci przez całe lato mieszkali, a on sam to jeno przez dwa tydnie przesiedział a potem co niedziela na parę chwil przyjeżdżał. Jak był przez te dwa tydnie, to mu się cniło i prosił Wojtka, żeby mu pozwolił uciąć łoziny z pola nad rzeką. Trochę tego było i szkoda, ale że pan grzeczny, więc nijako zabronić. Sam mu jeszcze przyniósł pręcie do domu. Pan cygaro zakurzył, drugie podał Wojciechowi i dalejże do roboty. Nad podziw piękny koszyk uplótł i rzecze:

— Wyście mi wygodzili a zapłaty nie chcecie, to ja was nauczę pleść kosze. I nauczył. Jak się kończy młocka a długie wieczory, po wieczerzy siada Wojciech pod piecem, Magda lampkę zaświeci, różne łachy naprawia, a on plecie kosze i opałki. Raz to ci nawet kołyskę uplótł, bieguny wystrugał z drzewa, pięknie wygładził i rzecze do Magdy:

— Połóż w nią naszą Marychnę. Prawie jej było rok bez mała. A Magda na to:

— Czy to jej źle w starej kołysce? Ja ci mówię, Wojtuś, weź to na jarmark i sprzedaj a pieniądze zanieś do kasy. Kiej ma być dla Marychny, to niech będzie!

Ano i poniósł, dostał pięć koron i ani niucha tabaki nie kupił, bo mu Magda nie dała; kiej ma być dla Marychny, to dla Marychny, prawi, i sama zaniosła pieniądze do kasy.

Magda to ci nawet wie, kiedy co komu potrza, że ty se głowę łamiesz, skąd co wziąć a ona już podaje: naści... Co ludzie mówią, że u baby rozum krótki, to nie całkiem prawda. Kiej Magda co zechce, to tak umie zagadać i do serca włożyć, że człek nie wie sam, czy to on chciał, czy Magda. — Po chwili przysiągłby, że to jemu najpierw do głowy przyszło i jeno swą własną wolę wypowiada.

Ot mieli skrzynkę ze starą kosą na sieczkę. — Ciężko było żnąć, słoma się jeno targała, sieczka była gruba a człek się namęczył. Wojtek nieraz chciał kupić sieczkarnię, choć na raty, ale mu jakoś nie szło powiedzieć Magdzie, że z kasy weźmie trochę uszparowanego grosza; byłoby jej markotno. Myśli, jak to zrobić, żeby był wilk syty i owca cała. Zanim tyle koszy uplecie, żeby na kupienie lady starczyło, to się kobiecina na nic zmacha, żnąc sieczkę w starej skrzynce. A tu wczoraj Magda mówi: Wis, Wojtuś, możebyś wziął jutro źróbka na jarmark? trzymać dłużej nie opłaci się. Jak sprzedasz, to kup ladę, bo mnie ręce bolą na tej starej żnąć sieczkę, strasznie ciężko idzie. Tylo się nie daj żydom oszukać.

No niech tu kto powie, że baba bez rozumu; gospodarz se myśli i kalkuluje, a ona odrazu wie, jak sposób znaleć.

Powieźli źróbka na jarmark a za powrotem w półkoszkach za nimi sterczała czerwoniuśka lada o czterech nożach. Kobyła z początku oglądała się za źrebiątkiem i nawoływała, ale już we wsi, wedle domu to ci szła taka dumna, że wiezie maszynę!... Sąsiedzi wychodzą po drodze, gapia się a pytają:

— Wieleście dali? Może na wypłat? A z jakiej fabryki?

Co chwila stawaj a stawaj.

— Wasze to? Komu wieziecie?

Jakby to już nie mógł Wojciech na maszynę se pozwolić. Kumotrom odrzeknie, jak się patrzy a do żony to się roześmieje i mówi:

— Oni se myślą, że ja z bidy w domu siedzę i do Szlomy ani do Wicka nie zaglądam i żałuję pocichu. Ja ta głośno powiem, że mnie właśnie ich żal. Nie jednego źróbka, nie jednę maszynę utopili w kubku u Szlomy. Co też to za uciecha w obmierzłej izbie siedzieć z pijakami i z brudnych, ośliniomych kubków bylejaki trunek popijać. Choćby człek stamtąd i po trzeźwemu wracał, co się mało komu przytrafi, to i tak obraza Boska, plugawych mów trza się nasłuchać!... W domu baba albo płacze, albo pomstuje w żywe oczy i do szturchańców przychodzi a dziecka na to patrzą, wtulone ode strachu po kątach izby. Zajrzeć tam nazajutrz: baba z posiniałą gębą, chłop spluwa i stęka, dzieci obtargane myszkują głodne po kątach, fajerka na oknie stłuczona, skorupy garczków wedle pieca, niema w czem śniadania uwarzyć, gadzina nienapojona, marnieje wszystko.

Wojciech zamilkł — prawie stanęli przed chałupą. Dzieciska wybiegły za próg i dalejże drapać się na półkoszki.

— Coście przywieźli, tatulu? Maszynę? A na co? Na sieczkę? To się Krasula ucieszy, że będzie miała drobną sieczkę!

— Mama, ja wejdę na wóz — prosi Marychna.

— Do izby, dzieci — woła Magda — bo nie dam kukiełki!

Złazi z wozu ostrożnie, w jednej ręce trzymając koszyk, w drugiej nowy warzniczek. Jaguś przytuliła się w sieni do drzwi i czeka, aż jej matka te skarby powierzy. Bierze ostrożnie i niesie do izby.

Ojciec odprzęga kasztankę i do stajni prowadzi. Matka zdejmuje odświętną przyodziewę, tuli dziecięta, gładzi po głowach i dzieli gościńca. Temu kukiełki, tamtemu obwarzanek, Marychnie piernika. Zakrzątnęła się wedle pieca, wydostała ciepłą warzę przystrojoną przed odjazdem i zaprasza męża, aby se razem z dzieciskami pojedli. Kasztanka już chrupie siano w stajni.

Za dobrą chwilę nowa lada zniesiona z wozu zajęła miejsce w środku szopy. Słoma aże furczy a sieczka równa, drobniutka sypie się z pod nożów.

Korczak.

Wieprzka mu ukradli!

(Humoreska).

W pewnej wiosce mieli ludzie taki zwyczaj, że jak kto zabił tłustego wieprzka, to poczęstował sąsiadów to kiszeczką, to kiełbaseczką. A jak znowu drugi i trzeci zabił, to tak samo robił i t. d. Aż się trafiło, że jeden sąsiad miał ładnego wieprzka do zabicia i żal mu się zrobiło, że będzie musiał rozdać sporo. A tu przecie skoda, a dać wypada, bo i jemu dają.

Co tu robić? Idzie do najlepszego swojego kumotra i radzi się go, co ma zrobić z tym wieprzkiem, żeby nic nikomu nie dać.



Sąsiad doradził, że jak zabije, to niech po wsi rozgada, że mu słoninę i mięso ukradli.

— A to wy mi dobrze radzicie, mój złoty kumoterku — rzekł sknera — oj dam wam też za to porządną kiełbasę.

Jakoż nazajutrz zabił wieprza, narobił kiszek, nawędził kiełbas, połetek narobił, jak już wszystko było gotowe i jak nastała noc, tak ten kumoter, co mu doradzał, sam poszedł w nocy, podkopał się do jego komory przy pomocy parobka i zabrał mu to wszystko, co się znajdowało.

Nazajutrz rano chłop zachodzi do komory, a tu ani znaku ze sperek i kiełbas.

— Bodajcie krocset tysięcy dyabłów wzięło — zaklął na ten widok — co się to mogło stać?

Spostrzegłszy dziurę pod przyciesią, domyślił się wszystkiego. Idzie naprzód do ukochanego kumoterka i żali się:

— Kochany kumie, widzicie, te psiekrwie złodzieje wszystko mi skradli co do jednej kiełbasy.

— Ano nie mówiłem wam, żebyście tak przed każdym mówili — kumoter na to.

— Ależ ja nie żartuję, ale naprawdę mi to pokradli — odparł sknera.

— Tak, tak mówcie przed każdym.

— Ale przysięgam wam na wszystko, co święte, że mi pokradli.

— Tak, tak! bardzo dobrze mówicie, lepiej nawet jak trza! Widzicie, jakem wam dobrze poradził i spodziewam się, że mnie przyobiecana kiełbasa nie minie. Za taką dobrą doradę toby mi się jeszcze coś więcej należało, boć to przecie wyśmienita dorada.

— Kiedy, bójcie się Pana Boga, cóż wam będę mógł dać, kiedy sam nic nie mam — próbuje tłómaczyć sknera.

— Ano widzicie, jak wam to idzie kłamstwo, jak z karty, jak to dobrze kogo pouczyć! Jakże? przyjść po tę kiełbasę czy też ją sami przyniesiecie?

— Ależ, zlitujcie się, kiedy nie mam!

— A to wy nawet lepiej umiecie kłamać, niżem was nauczył — śmieje się kum — bo wy nietylko sąsiadów, ale i mnie chcecie wykiwać, ale się wam to nie uda, bo was przed ludźmi wydam, żeście nietylko ludzi, ale nawet i mnie samego wykiwali.

Jak powiedział tak i zrobił, bo sknerze przecie nie sposób było kupować kiełbasy i dawać za doradę. Kum nie dość, że jadł jego sperki i kiełbasy, lecz do tego jeszcze go obgadał przed ludźmi. Cała wieś śmiała się potem z biednego chłopa.

Tak to zawsze bywa, że skąpy dwa razy traci, a kłamstwo zawsze się wyda.

Karol Powroźniak.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ VII.

Nab nie wrócił. — Wieczerza. — Straszna burza. — Walka z deszczem i wichrem. — O sześć mil od Kominów.

Gedeon Spillet stał nieruchomy z założonemi rękami, wlepiając wzrok ku wschodowi, gdzie ponad morzem wielka czarna chmura szybko wznosiła się w górę i groźną zapowiadała burzę. Harbert poszedł do Kominów, a Penkroff zbliżył się do stojącego na wybrzeżu reportera. Obudzony z zamyślenia reporter zapytał:

— Jak ci się zdaje, w którem też miejscu łódkę odcięliśmy i pęd wiatru uniósł naszego towarzysza?

— Najdalej o paręset sążni stąd — odrzekł marynarz po chwili namysłu.

— Przypuszczając, że utonął, dziwna to jednak, że i pies jego Top także śmierć znalazł i że morze nie wyrzuciło na brzeg zwłok ani Cyrusa, ani psa.

— Nic dziwnego, skoro morze tak było wzburzone; a zresztą może prąd uniósł je gdzieś dalej.

— A wiesz, iż niepodobnem wydaje mi się, aby Cyrus i Top zginęli tak bez śladu, może obydwaj żyją?

— Chciałbym temu wierzyć — odrzekł marynarz — ale doświadczenie nie dozwala mi łudzić się.

To powiedziawszy, Penkroff poszedł do Kominów, gdzie już Harbert rozniecił ogień, dorzucając suchych gałęzi; wielki płomień, strzelający do góry, oświetlił najciemniejsze nawet zakątki. Penkroff zabrał się zaraz do przygotowania obiadu, który chciał zrobić nieco posilniejszym, ze względu, że wszyscy byli wyczerpani z sił.

Była już siódma wieczorem, a Nab jeszcze nie wrócił; tak długa nieobecność jego mocno zaniepokoiła pozostałych towarzyszów. Obawiali się czy nie uległ jakiemu wypadkowi, lub obłąkany rozpaczą nie odebrał sobie życia. Harbert tylko zupełnie przeciwne wyprowadzał wnioski. On mniemał, że skoro Nab nie wraca, to widać może znalazł jakie wskazówki, jaki ślad kroków lub część ubrania inżyniera i może właśnie w tej chwili wpadł już na trop lub nawet odszukał swego pana.

Tak mówił młody Harbert, ale jeden tylko Gedeon Spillet podzielał jego nadzieję. Penkroff utrzymywał, że Nab zapuścił się dalej niż wczoraj i dlatego dotąd nie wrócił. Harbert chciał koniecznie biedz szukać murzyna, lecz towarzysze przekładali, że w nocy i w tak szkaradny czas wycieczka jego na nicby się nie zdała, a nadto w żadnym razie nie powinni się już rozłączać. Jeżeli więc Nab nie wróci do jutra, wszyscy trzej pójdą go szukać.

Oddawna już ponure cienie nocy pokryły wybrzeże, i była pewnie druga po północy, gdy nagłe szarpnięcie zbudziło Penkroffa, śpiącego twardym snem.

— Co się stało? — zawołał, zrywając się zupełnie przytomny, gdyż długa służba morska oswoiła go z wszelkiemi niespodziankami.

Gedeon Spillet stał nad nim pochylony, mówiąc:

— Czy słyszysz, Penkroffie? Słuchaj, słuchaj!

— To wicher i szum bałwanów.

— Ale nie, mnie się zdaje, że słyszę szczekanie psa!

— Szczekanie psa! — krzyknął Penkroff, odrazu stając na nogi.

Natężył słuch i rzeczywiście zdało mu się, że w chwili przelotnego uciszenia się burzy, doleciało go oddalone szczekanie.

— A co?... — rzekł reporter, ściskając dłoń marynarza.

— Tak, tak... masz pan słuszność.

— Ach! Top!... Top!... — wrzasnął zbudzony nagle ze snu Harbert, i wszyscy trzej rzucili się ku wyjściu.

Wiatr dął tak gwałtownie, iż z trudnością mogli wyjść, gdyż odpychał ich ciągle do wnętrza i dopiero opierając się o skały, zdołali utrzymać się na nogach. Przez kilka minut stali, miotani gwałtownym wichrem, deszcz lał na nich strumieniem, piasek zasypywał oczy. Tak, było to szczekanie Topa; ale czy z kim, czy sam tylko wracał? Zdaje się, że gdyby szedł za Nabem, już dawno byliby wpadli do Kominów.

Nie mogli się słyszeć, to też marynarz ścisnął tylko dłonie towarzyszów i jakby im mówił: czekajcie! Powrócił do Kominów, skąd za chwilę wyszedł, trzymając w ręku pęk zapalonego łuczywa. Bujał nim w powietrzu i świstał, jak mógł najgłośniej. W tejże chwili dało się słyszeć bliższe i głośniejsze szczekanie i, jakby tylko oczekując tego znaku, pies wpadł gwałtownie do korytarza. Penkroff, Harbert i Gedeon Spillet pobiegli za nim, jak mogli najprędzej. Marynarz dorzucił na ogień garść łuczywa — jasny płomień wystrzelił w górę i oświetlił korytarz.

— Top, Top! — krzyknął Harbert.

Rzeczywiście był to Top, ale był tylko sam, nie towarzyszył mu ani pan jego, ani Nab.

Jakimże sposobem instynkt jego doprowadził go do Kominów, których nie znał wcale i to jeszcze wśród nocy i podczas takiej burzy?! Drugi fakt — dziwniejszy jeszcze — Top nie był ani zbiedzony, ani nawet zabłocony.

— Skoro pies powrócił, znajdziemy i jego pana — rzekł uradowany reporter.

— Daj to Boże! — odrzekł Harbert. — Chodźmy szukać pana inżyniera, pies nas zaprowadzi.

— Chodźmy — odrzekł marynarz i reporter.

Penkrof zgarnął starannie węgle w ognisku i ułożył pod popiołem kilka nowych kawałków drzewa, aby zastali ogień za powrotem. Następnie zabrał ostatnie resztki wieczerzy i wszyscy wyszli z Kominów, idąc za Topem, który wyraźnie dawał im do zrozumienia, że ich poprowadzi.

Burza szalała wściekle; zdawało się, że dochodzi największej swej gwałtowności. Bardzo było trudno po ciemku iść w prostej linii. Postanowili spuścić się na instynkt Topa. Najpierw tedy szedł pies, potem Harbert i Gedeon Spillet, a Penkroff zamykał pochód. Mówić było niepodobna; deszcz nie był ulewny, gdyż wir huraganu rozpylał go prawie, ale burza ryczała zawzięcie. Byli niemal pewni, że Nab odszukał swego pana i wyprawił do nich poczciwe psisko. Ale czy Cyrus Smith żył jeszcze? A może Nab wzywał tylko jego towarzyszów, aby mu oddali ostatnią posługę?

O piątej dnieć zaczęło. Na wierzchołkach bałwanów płowe odbłyski odbijać się zaczęły; piana pobielała. O szóstej dzień zajaśniał zupełny; chmury wzniosły się do góry. Marynarz i jego towarzysze znajdowali się wtedy blisko o sześć mil morskich od Kominów.

W tej chwili Top zaczął okazywać żywy niepokój; to biegł naprzód, to wracał do marynarza, jakby nalegając, aby szedł prędzej. Nagle pies opuścił płaszczyznę i jakby cudownym wiedziony instynktem, bez wahania wbiegł między piaszczyste wzgórza, ciągnące się wzdłuż morza.

W pięć minut po zejściu z płaszczyzny marynarz i dwaj jego towarzysze stanęli przed otworem,

wydrążonym w dość wysokiem wzgórzu; tutaj Top zatrzymał się i zaszczekał głośno. Spillet, Harbert i Penkroff weszli do groty. Tutaj Nab klęczał nad martwem ciałem, leżącem na łożu z mchu i trawy. Był to inżynier Cyrus Smith.

ROZDZIAŁ VIII.

Cyrus żyje. — Ślady nóg. — Pierwsze wyrazy Cyrusa. — Powrót do Kominów. — Rozpacz Penkroffa.

Reporter ukląkł przy nieruchomem ciele, rozpiął ubranie i przyłożył ucho do serca. Upłynęła minuta, która oczekującym wydawała się wiekiem.

Nab podniósł nieco głowę i patrzył, nie widząc. Rozpacz zmieniła go do niepoznania; serce pękało mu z boleści, gdyż pewny był, że pan jego nie żyje.

Nareszcie po długim badaniu Gedeon Spillet powstał, mówiąc:

— Żyje! uratujemy go!

Nab oprzytomniał, usłyszawszy te słowa; z polecenia reportera rozebrał swego pana, aby można było przekonać się, czy nie poniósł jakiej rany. I dziwna rzecz; zdaje się, że wyrzucone z łódki ciało musiało tu i owdzie obijać się o skały, a jednak nigdzie nie było ani ran, ani śladów stłuczenia; na rękach nawet najlżejszego zadraśnięcia znać nie było. Zaszło więc coś nadzwyczajnego, ale wytłómaczyć sobie tego niepodobna było. Sam tylko Cyrus Smith będzie mógł objaśnić im tę nadzwyczajną okoliczność. Lecz teraz inżynier leżał nieprzytomny i należało przedewszystkiem wrócić go do życia. Zdawało się im, że rozcieranie najprędzej doprowadzi do tego celu, a więc zaczęli nacierać go wełnianym kaftanem marynarza. Rozgrzany mocno, inżynier zaczął dawać znaki życia; naprzód lekko poruszył ręką, a następnie słychać było regularniejszy oddech. Długie zemdlenie było następstwem głodu i znużenia, i gdyby towarzysze nie przyszli mu z pomocą, Cyrus Smith jużby się zeń nie obudził.



...wielki płomień oświetlił zakątki.

— Byłeś przekonany, że pan twój nie żyje? — zapytał Naba marynarz.

— Ach! tak — odrzekł murzyn — i gdyby Top nie był was sprowadził, byłbym pogrzebał ukochanego mego pana i sam spoczął obok niego snem wiecznym.

Teraz Nab opowiedział towarzyszom, że gdy w przeddzień przed świtem wyszedł z Kominów, przeszedł wybrzeże w kierunku północnym i doszedł o kilka mil dalej, sądząc, że może prąd morski lub wicher poniósł ciało gdzieś daleko, gdyż najczęściej tak bywa, że jeśli zwłoki jakie unoszą się w niewielkiej odległości od piaszczystego wybrzeża, prędzej czy później morze je na ląd wyrzuca. Wiedząc o tem, Nab pragnął koniecznie odszukać zwłoki swego nieodżałowanego pana, aby go raz jeszcze zobaczyć.

— Zaszedłem jeszcze parę mil dalej — mówił — lecz wszędzie szukałem daremnie i już rozpacz zaczynała mnie ogarniać, gdy wtem wczoraj wieczór około godziny piątej, dostrzegłem na piasku jakieś ślady stóp.

— Ślady stóp? — krzyknął Penkroff.

— Tak — odrzekł Nab.

— I ślady zaczynały się zaraz przy skałach? — zapytał reporter.

— Nie — odrzekł Nab — tam dopiero, gdzie nie dosięgają wody morskie podczas przypływu; woda bliższe zatrzeć musiała.

— Cóż dalej? — zapytał reporter.

— Ujrzawszy te ślady myślałem, że oszaleję z radości. Ślady te były zupełnie wyraźne i skierowane ku wybrzeżu. Śledziłem je, biegnąc jak szalony, uważałem wszelako, aby ich nie zatrzeć. Noc zaczynała zapadać, gdy usłyszałem szczekanie psa; był to wierny Top, który przybiegł i doprowadził mnie do tej groty.

Tu opowiedział, jak bezmierna przygniotła go boleść, gdy ujrzał pana swego bez życia; próbował wszelkiemi sposobami, czy nie uda mu się otrzeźwić go, wszelkie jednak usiłowania jego były bezskuteczne.

Biedny Nab pomyślał wtedy o współtowarzyszach, którzy pewnie pragnęliby zobaczyć inżyniera raz jeszcze. Spojrzał na Topa. Czyż nie może się spuścić na zmysł wiernego zwierzęcia? Wtedy to wymówił kilkakrotnie nazwisko reportera, gdyż jego Top znał najlepiej, a następnie wskazał mu stronę południową; pies pobiegł natychmiast we wskazanym kierunku. I widzieliśmy, jak wiedziony instynktem Top trafił do Kominów, chociaż nigdy przedtem w nich nie był.

Zgromadzeni z wielką uwagą słuchali opowiadania Naba. W żaden sposób pojąć nie mogli, jak się to stało, że Cyrus Smith, który zapewne musiał długo walczyć z rozhukanemi wśród skał falami, nigdzie nawet zadraśnięty nie został. Niepodobna także było wytłómaczyć, jakim sposobem inżynier mógł dostać się do groty, ukrytej wśród wzgórz, przeszło o milę od wybrzeża odległej.

— Więc to nie ty, Nabie, przeniosłeś tu swego pana? — zapytał reporter.

— Nie ja — odrzekł.

— Widoczna rzecz, że pan Smith sam tu przyszedł — rzekł marynarz.

— Widoczna, lecz prawie niepodobna do wiary — odrzekł Gedeon Spillet.

Tylko od samego inżyniera można się było spodziewać rozwiązania tej zagadki, trzeba jednak było czekać, aż odzyska przytomność i mowę. Szczęściem widocznie przychodził do siebie; rozcieranie przywróciło obieg krwi. Teraz Smith znowu poruszył ręką, potem powoli obrócił głowę, z ust uleciało kilka słów niezrozumiałych.

Nab, pochylony nad nim, wypowiadał swoją radość, lecz zdawało się, że pan jego nic nie słyszy;

oczy wciąż miał zamknięte i tylko lekkie ruchy zdradzały życie. Jednak starania, jakiemi nieustannie otaczano Cyrusa Smitha, prędzej niż można się było spodziewać, przywróciły mu przytomność. Ożywiała go woda, którą ciągle zwilżano mu usta. Po chwili otworzył oczy. Nab i reporter pochyleni byli wciąż nad nim.

Cyrus Smith poznał wszystkich z kolei towarzyszów i uścisnął ich dłonie. Potem przymknął powieki i zdawało się, że zasnął.

Nie przerywali snu jego i zaraz reporter zajął się obmyśleniem jak najwygodniejszego sposobu przeniesienia inżyniera do Kominów.

Robota ta zajęła im przeszło pół godziny czasu; była już dziesiąta, gdy powrócili do groty, w której Gedeon Spillet czuwał nad towarzyszem. Cyrus Smith wtedy właśnie zaczynał budzić się ze snu, czyli raczej z senności, w jakiej był pogrążony; twarz dotąd martwo blada zaczęła zwykłą odzyskiwać cerę. Uniósł nieco głowę, rozejrzał się wokoło, jakby pytając się, gdzie się znajduje.

Reporter opowiedział mu wszystko, co zaszło od ostatecznego rozbicia się balonu, o którem Cyrus Smith nic już nie wiedział.

— Więc — zapytał inżynier osłabionym jeszcze głosem — więc to nie wy przynieśliście mnie tutaj z wybrzeża?

— Nie — odrzekł reporter.

— Jak daleko ta grota leży od skał nadbrzeżnych? — zapytał znowu.

— Blisko o pół mili — odrzekł Penkroff — i wierzaj mi, że niemniej od ciebie jesteśmy zaciekawieni i zdziwieni, jakim sposobem mogłeś się tu dostać?

— Rzeczywiście to rzecz szczególna — rzekł inżynier, który coraz był rzeźwiejszy.

— Lecz czy nie mógłbyś powiedzieć nam, co się z tobą działo od chwili, gdy pęd wichru uniósł cię z łódki?

Cyrus Smith zamyślił się, ale mało co sobie przypominał. Wir wichru rozerwał siatkę i porwał go z łódki balonowej, a następnie zanurzył w głębokich falach morskich. Gdy wypłynął na powierzchnię było prawie ciemno, nie widział więc, lecz czuł, że jakaś żyjąca istota porusza się koło niego; był to wierny Top, który pospieszył mu z pomocą. Podniósł oczy w górę, nie dostrzegł już jednak balonu, który, uwolniony od podwójnego ciężaru, poleciał jak strzała. I znajdował się wśród rozhukanych bałwanów, pewnie w odległości pół mili od brzegu; płynął walcząc całą siłą ze wzburzonemi falami. Top trzymał go za suknie. Z jakie pół godziny walczył z rozszalałemi żywiołami, nareszcie poszedł na dno, pociągając psa za sobą. Od owego czasu aż do chwili, gdy ujrzał się wśród ukochanych towarzyszów, nic nie wie, co się z nim działo.

— Zdaje się, że bałwany musiały rzucić cię na wybrzeże i miałeś jeszcze siłę dowlec się do groty, skoro Nab odnalazł na piasku ślady twoich kroków — rzekł marynarz.

— Tak, zdaje się, zapewne. Lecz czy nie spotkaliście tu człowieka?

— Nawet najmniejszego śladu — odrzekł reporter. — A zresztą, gdyby był aż zjawił się jakiś niespodziewany zbawca, czemużby cię tu porzucił, ocaliwszy?

— Masz słuszność, przyjacielu. — A odwracając się do Naba, dodał: — Nabie, powiedz mi, proszę, czy to czasem nie ty?... może potem straciłeś przytomność? Czy owe ślady stóp pozostały gdzie dotąd? — zapytał.

— Tak, panie mój — odrzekł Nab. — Niedaleko wejścia do groty, w miejscu, które osłania przyległe wzgórze; inne wiatr i deszcz zatarły.

— Proszę cię, Penkroffie, weźmij moje obuwie i zmierz, czy przypada do pozostałych śladów.

Marynarz spełnił polecenie, Harbert poszedł z nim, Nab zaprowadził. Gdy odeszli, Smith rzekł:

— W tem wszystkiem jest coś dziwnie niepojętego!..

— Rzeczywiście, lecz nie myślmy teraz o tem. Wszystko zapewne wyjaśni się później.

Niezadługo powrócił marynarz z towarzyszami. Nie było wątpliwości, buty inżyniera doskonale pasowały do pozostałych jeszcze śladów.

— Ha! widać, że byłem pod wpływem jakiejś halucynacyi i szedłem jak lunatyk, sam nie wiedząc, co robię, a Top, wiedziony instynktem, wyratował mnie z toni i tu przyprowadził.

Około południa inżynier siłą woli zdołał podnieść się ze swego mchowego łoża, ale był tak osłabiony, że sam nie mógł utrzymać się na nogach. — Wyżej wspomniane nosze stanęły przed grotą: były one miękko usłane mchem i długą trawą. Ułożono na nich jak najwygodniej Cyrusa Smitha i zwrócono się ku Kominom.

Wiatr dął jeszcze gwałtowny, ale deszcz przestał padać. Inżynier leżąc, wsparł się na łokciu, rozglądając się po wybrzeżu, szczególniej w stronie przeciwległej morzu. Milczał, lecz wpatrywał się bacznie i najniezawodniej plan całej okolicy, wszelkie zmiany gruntu i lasy, doskonale odrysowały się w jego pamięci. Po upływie dwóch godzin znużenie przemogło: opuścił głowę i zasnął. Mieli ośm mil do przebycia, a że musieli iść wolno i nieraz zatrzymywać się dla odpoczynku. Nareszcie o pół do szóstej stanęli na miejscu. Cyrus Smith spał mocno; zwolna postawili nosze, nie obudził się.

Penkroff zadziwił się niewymownie, zobaczywszy dzieło zniszczenia, dokonane przez wczorajszą burzę. Przed wejściem do kominów grunt był głęboko poorany przez bałwany; tu i owdzie potworzyły się wielkie wyrwy.

Penkroff zadrżał przerażony, straszne przeczucie ścisnęło mu serce, jednym tchem wpadł do korytarza, chwilkę zaledwie tam zabawił, wybiegł i stojąc nieruchomy, wlepił wzrok w towarzyszów... Ani śladu ognia nie zostało. Morze wdarło się do wszystkich korytarzy i zniszczyło wszystko wewnątrz Kominów!

(Ciąg dalszy nastapi).



A kiedy zamknę już.

A kiedy zamknę już
Strudzone me powieki,
To ty mnie w trumnę złóż
Niech spocznę w niej na wieki!

I z piersi niechaj twej
Głos spłynie na mogile
O wtedy będzie duszy lżej,
Która cierpiała tyle!

A kiedy w nieba próg
Zajdę do stóp Pana,
Modły me przyjmie Bóg
Za Tobą, ukochana!

I będę prosił, łkał
By tam w błękitnem niebie
Szczęście mi Pan Bóg dał
Największe, dając Ciebie!

Antoni St. Bassara.



MACIEK BZDURA GADA:

Wam się pewnikiem widzi, ze w nasy Zatracony wsi to najwazniejsą osobą to jest abo jegomość, abo prefesur, abo wójt, abo sam pan organista. Aha! juści! Takby to niby wypadało i tak jest gdzieindzi, ale nie u nas.

U nas najwazniejsą osobą jest Mosiek. Myślicie, ze to nieprawda a ino ja tak łgam, ale ono przecie tak jest, a lacego, to zaraz powiem.

Jak były wybory, to wszyscy mondrzy ludzie gadali i radzili, aby do parlamentu wybirać morowego chłopa, któryby rozumnym był i na wszyćkiem się znał, ale Mosiek podpoił gospodarzów wódką, przypodchlebił jem i głosowali za takim ciamajdą, który we Widniu całą jesień ani pary z gęby nie puścił.

Jegomość bez cały rok co niedzieli z kazanicy odkazują pijakom i zakazują do karcmy chodzić a jak mają być niespory, to kazą we wszyćkie dzwony bić la cały parafii, ale do kościoła to ino co nieftóry pójdzie. Mosiek ani dzwonów ni ma, ani kazanicy ni ma a co wiecór u niego luda tyle, ze się i przecisnąć trudno.

Prefesur namawia ludzi, aby se zapisywali nasom »Role« bo to nie siła kosztuje a pozytecność wielga, ale ktoby go ta słuchał! Skoda grajcarów na gazyty i książki! Ale Mośkowi za śmierdziuchę, to ten i ów ostatnią szóstkę wyciągnie a często gęsto i z kradzionego przyśparuje i Mośkowi bez prosenia i nama-[illegible]iania dobrowolnie da.

Wójt w tamtem roku chciał kupić dla gminy sikawkę do ognia, ale ze to to trza było na to piniędzy, to ten i ów po cuprynie się skrobał, ale byliby wszyscy dali, bo wiedzieli, ze to rzec potrzebna. Ale przysed na to Mosiek i pada;

— Na co szikafkę, po co szikafkę? W Zatracona Wesz nima takie niepotrzebne rzecy, jak ogień! Tu sze nigdy nie pali — po co szikafkę.

Gospodarze pocęli kiwać głowami a jak Mosiek pedzioł, ze ogień mozna piaskiem zasypać, nie uchwalili grajcarów na sikawkę.

W insy wsi jak nie słuchają jegomościa, ani prefesura, ani wójta, to choć słuchają pana organisty. W Zatracony Wsi całkiem inacy! Łońskiego roku źlił się pan organista, ze mu baby mało dają za opłatki, mało po kolendzie, mało po śpiśnem, mało za kartki, mało po petycie i cięgiem mało i mało. Gadał i tłomacył ludziom, ze on nima nijakiej penksyi a ino z tego, co uzbira, jak ta kurka, musi siebie i swoje pendraki wychować. I byliby ludzie ślitowali się nad nim, zeby nie Mosiek, ten podjudził baby, zeby zadna nic organiście nie dała, bo lepi się u niego za to arbaty z harakiem napić. Baby usłuchały a pan organista juz teraz casem ani *Weni krejatur* z głodu wyciągnąć ni moze.

To ino scęście, ze to nie wsędzie tak, jak tu w nasy Zatracony Wsi.

Z TYGODNIA.

Z Sejmu krajowego. Drugie posiedzenie Sejmu, odbyte w sobotę 20 stycznia zakłóciła znów hałaśliwa obstrukcya ruska. Mimo to Sejm załatwił sprawy będące na porządku dziennym, mianowicie uznano nagłość i odesłano do komisyi szkolnej wnioski w sprawie polepszenia płac nauczycieli oraz wniosek w sprawie upaństwowienia gimnazyum i seminaryum nauczycielskiego w Białej.

Zgon nuncyusza papieskiego. W Wiedniu zmarł nuncyusz tj. poseł papieski przy dworze wiedeńskim, ks. arcyb. Bavona.

Wybory do Sejmu Rzeszy niemieckiej. Dokonane świeżo wybory do Sejmu Rzeszy niemieckiej czyli parlamentu, nie wypadły korzystnie dla Polaków. Dotychczas w parlamencie niemieckim mieliśmy 20 posłów. W interesie społeczeństwa jeśli nie powiększyć tej liczby, to przynajmniej nie stracić żadnego mandatu. Pierwszy dzień wyborów przekonał wszakże, że liczby poprzedniej nie uzyskamy. Wybrano 15 Polaków; do wyborów ściślejszych przychodzi wprawdzie jesze dziesięciu, lecz z tych zaledwie trzech posiada możność wyboru. Liczyć się z tem trzeba, że stracimy 2 albo 4 mandaty. Strata nie dotknie W. Księstwa Poznańskiego, ani Prus Zachodnich, bo tam zatrzymujemy dotychczasowy stan posiadania, lecz odbije się na cyfrze posłów naszych na Śląsku pruskim. W przeszłym parlamencie mieliśmy 6 Polaków wybranych ze Śląska; odrazu przeszedł jeden poseł polski. Przy ściślejszych wyborach dokonanych dnia 22 stycznia wybrano ze Śląska pruskiego jeszcze dwóch Polaków. Straciliśmy więc ze Śląska 3 polskie mandaty poselskie. Wybory ściślejsze przyniosły stronnictwom przeciwrządowym większe korzyści niż pierwszy dzień wyborów, przedewszystkiem stronnictwu socyalno demokratycznemu. Siła liczebna tych stronnictw: narodowo-liberalnego, demokratyczno-postępowego i socyalno-demokratycznego, wzrosła blisko do 170 mandatów, z czego niemal 100 mandatów przypada na socyalistów.

Z wojny włosko-tureckiej. Wojna w dalszym ciągu przynosi sprzeczne na razie, później dopiero sprawdzające się wiadomości to o zwycięztwach tureckich, to znów włoskich. W każdym razie Włosi choć zwolna, lecz postępują w zajmowaniu Trypolitanii i okazują wielką wytrwałość, nie żałując ofiar dla zdobycia dla swego kraju tej rozległej posiadłości afrykańskiej.

Rzeczpospolita chińska. Zmianę formy rządu w Chinach można już uważać za zupełnie dokonaną. Rzeczpospolita chińska posiada już nietylko prezydenta, lecz kompletny rząd, wydaje proklamacye do ludności i mocarstw, stara się o pożyczki na rynkach zagranicznych, wogóle zachowuje się tak, jak gdyby władza cesarska nie istniała. Wprawdzie konferencya pokojowa w mieście Szangaju obraduje dalej, rozważając myśl zwołania konwentu narodowego, wojska cesarskie stoją dalej na pozycyach, lecz rząd republikański traktuje wszystko to z lekceważeniom, wskazując na ogłoszenia rzeczypospolitej w czternastu prowincyach, na przejście całej marynarki wojennej, oraz dwunastu dywizyi wojska do obozu rewolucyonistów, podczas gdy przy dynastyi zostały ledwie dwie prowincye, dwie zaś ogłosiły neutralność. Nad abdykacyą tj. zrzeczeniem się tronu przez obecną dynastyę cesarską w Chinach odbywają się dalej rokowania, które, sądząc z tego, jak dziś rzeczy stoją, muszą zakończyć się opuszczeniem kraju przez rodzinę cesarską, skoro w państwie niema już ona oparcia.

KRONIKA.

Wypadek arcyksiężnej. Arcyksiężna Marya Teresa, żona arcyksięcia Karola Stefana w Żywcu, wypadła dnia 18 stycznia podczas jazdy na saneczkach i uderzyła się z tak znaczną siłą w czoło, że przednia część kości czołowej została zdruzgotana i nastąpiło wstrząśnienie mózgu, które po kilku godzinach ustąpiło. Przy operacyi dokonanej w uśpieniu, usunięto kilka drobnych i większych odłamków kostnych. Życiu arcyksiężnej nie grozi niebezpieczeństwo. W Żywcu i okolicy, gdzie arcyksiążę Karol Stefan posiada dobra, wypadek ten wzbudził u ludności głębokie współczucie, gdyż arcyksięstwo cieszą się tam wielką sympatyą.

Wiec nauczycielstwa. W połowie stycznia odbył się we Lwowie olbrzymi wiec nauczycielstwa ludowego z całej Galicyi, który radził nad polepszeniem bytu. Olbrzymią salę »Pałacu sportowego« wypełniło nauczycielstwo w liczbie przeszło 10 tysięcy. Po uchwaleniu rezolucyi nastąpiły przemówienia poselskie, których było aż 16. Wszyscy posłowie, najrozmaitszych odcieni politycznych, obiecali poprzeć sprawę nauczycielską. Następnie udano się przed Sejm, dokąd udała się deputacya nauczycielska. — Marszałek obiecał poprzeć żądania nauczycielstwa o tyle, o ile fundusze krajowe na to pozwolą.

Znieważenie Przen. Sakramentu. Z Tuchowa donoszą, że dnia 9 stycznia o godz. 6 rano przystępowało do Komunii św. bardzo wiele osób. Wśród komunikujących się znalazł się żyd z Królestwa Polskiego, któremu ks. Mędrala udzielił Komunii św., nie zauważywszy w tłumie przystępujących, że to jest innowierca. Trzymając w ustach komunikant, przybysz dopuścił się następnie strasznego znieważenia Komunii św.: wypluł ją do czapki, którą trzymał w ręce. Zauważyli to klęczący obok pobożni i przychwycili go za ręce. Hostyę i czapkę spalono a jego oddano w ręce żandarmeryi, która odstawiła go pociągiem do sądu karnego w Tarnowie, gdzie wytoczono mu śledztwo o zbrodnię zniewagi religii.

Dwoje dzieci uduszonych dymem. W Prądniku Białym pod Krakowem zdarzył się w tych dniach wstrząsający wypadek. W mieszkaniu robotniczej rodziny Ziębów bawiło się dwoje dzieci: czteroletni Jan i dwuletnia Irena. Ojciec wyszedł rano do pracy, matka na zakupno do miasta. Dzieci bawiły się zapałkami i zapaliły wkońcu siennik rozłożony na ziemi. Od płomieni odbiegły wprawdzie na drugą stronę pokoju, jednak dym i swąd płonącego siennika wkrótce wypełnił całą izbę, dusząc dzieci. Wnet pod wpływem dymu padły na ziemię i po męczarniach udusiły się. Dopiero o godz. 11 przed południem, kiedy matka przybyła z miasta, zauważyła w pokoju pełno swędu i dymu, a na ziemi leżące dzieci bez znaku życia. Na alarm zbiegli się sąsiedzi i usiłowali przywrócić je do przytomności, jednak nadaremnie.

(W. T.) **Świętokradztwo.** W kościele parafialnym w Chochołowie w dniu 13 stycznia jakiś złodziej porozbijał skarbonki i zabrał ofiary, jakie tam były; w szczególności była ofiara w szopce Narodzenia Pana Jezusa; wynosiła ona kilkanaście koron. Ktoś dokonał tej kradzieży w dzień, gdy się wszyscy ludzie por. zchodzili po nabożeństwie do domów a kościół nie był zamknięty. Sprawca dotąd nie wyśledzony.

(W. G.) **Oszustwo.** Przed kilku laty przywędrował do gminy Bielany, w powiecie krakowskim, Królewiak, niejaki Ostrowski, który wstąpił do klasztoru OO. Kamedułów jako braciszek, ale że miejsca nie mógł długo zagrzać, więc się ożenił i założył sklep. W gminie potrafił tak ludzi otumanić, że został asesorem i o mało że nie wójtem. Nie dość tego, napożyczali mu ludzie pieniędzy i ręczyli za nim po kasach. Teraz drapnął w świat, zostawiając gospodarzy, biadających nad swoją głupotą, i żonę z dwojgiem dzieci.

(K. K.) **Wielkie mrozy.** Zima roku bieżącego o ile na początku była łagodną, to teraz zato daje się we znaki. W naszej okolicy, w powiecie strzyżowskim, już od kilku dni panują wielkie śniegi i mrozy, tak że kto dba o swoje zdrowie i nie chce odmrozić uszu, rąk lub nóg, musi siedzieć w domu. Kilku chłopów poodmrażało uszy.

(W. T.) Ostra zima panuje w powiecie nowotarskim. Wielkie mrozy dają się nam tu, pod Tatrami, już od Nowego Roku nie na żarty we znaki. Ludzie często odmrażają nogi, uszy itp. Snieg w Tatrach jest na półtora metra wysoki.

(K. K.) **Sędziwy wiek.** Najstarszym człowiekiem w Wiśniowy nad Wisłokiem była od kilku lat uboga kobieta, która, umierając, liczyła 97 lat. Zmarła ona przy końcu grudnia ubiegłego roku. Od kilku lat już słabowała i nie chodziła nigdzie tylko do kościoła, kilka razy w lecie każdego roku. W ostatnim roku nie chodziła nigdzie. Oby Pan Bóg dał każdemu możność odpokutowania grzechów przed śmiercią, darząc go sędziwym wiekiem.

(W.T.) **Z powodu pijaństwa** przychodzi w parafii chochołowskiej często do krwawych bójek, jak to miało miejsce już trzy razy po świętach. Podochoceni parobcy urządzają bójki po drogach i często zaczepiają obcych ludzi. Nie pomagają nawet misye św., które się odbyły ubiegłego roku.

Śmiertelna jazda. Niedawno temu niejaki Izaak Schimmel, kupiec z Radowiec, na Bukowinie, wybrał się wózkiem zaprzężonym w parę młodych koni, na targ do Gurahumory. Przed samem miastem, w chwili, kiedy zjeżdżał ze stromej góry, naszyjniki u dyszla urwały się, a wóz, nie wstrzymywany, tocząc się, począł uderzać konie po nogach.



Wskutek tego spłoszyły się i w szalonym pędzie zawadziły o słup kilometrowy, przyczem wózek rozleciał się na drzazgi. Schimmel, wylatując z wózka, uderzył o kamienie z taką siłą, iż wyzionął ducha na miejscu. Rozhukane i pokaleczone konie z trudem powstrzymano, a zwłoki nieszczęśliwego odwieziono do Radowiec, gdzie je pochowano. Obrazek nasz przedstawia tę prawdziwie śmiertelną jazdę.

(J. B.) **Morderstwo.** Dnia 5 stycznia wieczorem znaleziono w lesie przy Szumbarku, na Śląsku austr., zwłoki górnika Mynarza, któremu ktoś zadał ciężkie rany w głowę kilofem górniczym, znalezionym na miejscu zbrodni. Wskutek tych ran zmarł Mynarz. Mordercę wyśledzono w tych dniach w osobie górnika nazwiskiem Baran. Aresztowano go też i oddano do sądu obwodowego w Cieszynie.

(J. B.) **Brutalny syn.** Dnia 8 stycznia odbyła się w Cieszynie, na Śląsku austr., rozprawa przeciw 26 letniemu górnikowi, nazwiskiem Gabryel Besta, obwinionemu o brutalne obchodzenie się z rodzicami. Gabryel Besta, który mieszkał przy rodzicach, Józefie i Karolinie Bestach w Górnej Suchej, na Śląsku austr., znęcał się nad rodzicami w nieludzki sposób. W nadziei, że się poprawi, nie skarżyli rodzice swego syna, lecz gdy znęcania doszły do najwyższego stopnia, wnieśli w grudniu z. r. skargę przeciw niemu. Po przeprowadzonem śledztwie okazało się, że w latach 1910 i 1911 bił często swego ojca kijem, jednego dnia nawet, w roku 1910, zbił tak matkę swoją grubym kijem, że jej złamał prawą rękę w łokciu i mały palec. Dnia 15 listopada 1911 znęcał się znów nad matką i pokaleczył ją na lewem ramieniu. Jednego dnia uderzył ją rozpalonym hakiem od pieca w twarz. Dnia 2 grudnia ugryzł ją znów w prawe ramię, 3 grudnia pchnął ją nożem, a 4 rzucił na nią garnkiem i trafił w pierś Dnia 15 sierpnia 1911 wieczór zamknął swą matkę do chlewka, trzymając ją tam przez całą noc i cały dzień aż do 5 godziny popołudniu. Gabryel Besta zmuszał ją często do dłuższego klęczenia i modlenia się, bił ją przytem, gdy się ciszej modliła. Sąd skazał niegodziwca na 15 miesięcy ciężkiego więzienia.

Pożar w kopalni. W Mysłowicach w nocy z 17 na 18 stycznia wybuchł pożar w kopalni katowickiego Towarzystwa akcyjnego. W dymie udusiło się czterech robotników. Zwłoki ich wydobyto jeszcze w ciągu nocy. Zarządzono starania celem umiejscowienia ognia.

Przytulisko nędzy w Wiedniu. Sroga zima to klęska przedewszystkiem dla biedaków, którzy nie mają za co kupić sobie opału ani ciepłego okrycia dla siebie i rodziny. Najciężej jednak odczuwają zimę-macochę bezdomni, ludzie, których okrutny los lub własna lekkomyślność często na stare lata pozbawiły choćby najskromniejszego własnego kąta.



W dużych miastach istnieją przytuliska noclegowe dla bezdomnych, gdzie ci biedacy przynajmniej w cieple i pod dachem przespać się mogą. Największy ścisk wszakże panuje tam podczas zimy, tak, że nieszczęśliwi nawet na ziemi nocują. Takie przytulisko w Wiedniu w obecnej porze zimowej przedstawia nasz obrazek.

(J. B.) **Straszny wypadek.** Dnia 10 stycznia około 8 godziny rano gotowała żona gospodzkiego, Salomona Lanzera, w Niemieckiej Lutyni, na Śląsku austr., na rozpalonej blasze wosk z terpentyną do froterowania podłogi parkietowej w sali. Podczas gotowania zaczęło kipieć na blachę i w oka mgnieniu całe naczynie stanęło w płomieniach. Lanzerowa chciała naczynie ściągnąć na kraj, lecz spadło ono na podłogę i płomienie ogarnęły ją. W jednej chwili była już cała w płomieniach, jak pochodnia; posługaczka chciała ją ratować i także się popaliła. Nieszczęśliwą, okropnie poparzoną, odwieziono do szpitala w Ostrawie, gdzie porodziła martwe dziecko i niema nadziei utrzymania jej przy życiu. Posługaczkę odwieziono także do szpitala w Orłowej.

Szczęście kominiarza. W jednem z mniejszych miast Dolnej Austryi zdarzył się zabawny wypadek. Oto narzeczona pewnego kominiarza, mieszkającego w Wiedniu, jako służąca przeniosła się ze swem państwem do owego miasta i od paru tygodni zakochany kominiarz nie dostał od niej listu. Myśląc, że dziewczyna o nim zapomniała, poznawszy się w nowem miejscu pobytu z jakimś mniej zasmolonym młodzieńcem, zgodził się do pewnego majstra kominiarskiego tamże.



Wymiatając w kamienicy, gdzie narzeczona jego służyła, wszedł nagle do jej kuchni i ku wielkiemu jego uradowaniu dziewczyna ogromnie ucieszyła się jego przybyciem. Wyjaśniła przytem, że o nim nie zapomniała, lecz była chora dłuższy czas, dlatego nic nie pisała. — Uszczęśliwiony kominiarz chwycił dziewczynę wpół i zaczął z nią z radości tańczyć po kuchni. Weszli na to zdziwieni państwo. Oto treść obrazka, który podajemy.

Równouprawnienie katolików w Prusiech. Pod tytułem: »Dziecko z mieszanego małżeństwa« podaje jedna z gazet niemieckich wyrok sądowy, który tak jest niezwykły, że człowiekowi poprostu wierzyć się nie chce, jak takie rzeczy w państwie »bojaźni bożej« (jak Niemcy swe państwo nazywają) są możliwe. Otóż w powiecie wrocławskim ożenił się swego czasu ewangelicki chałupnik z katoliczką. Przed ślubem zobowiązał się wobec katolickiego księdza, że dzieci, które z tego małżeństwa pochodzić będą, wychowa po katolicku. W rzeczy samej urodziła kobiecina syna, którego też, stosownie do woli ojca, ochrzczono w kościele katolickim. W kilka lat później ojciec umarł, jednakże przed śmiercią zastrzegł wyraźnie w testamencie, że syn jego pozostać ma katolikiem. Wobec tego posłała też matka syna swego do szkoły katolickiej. Przeciwko temu zaprotestował odnośny ewangelicki inspektor szkolny i wskutek jego starań orzekł sąd opiekuńczy, że tak zobowiązanie ojca wobec katolickiego księdza, jako też jego zastrzeżenie w testamencie nie mają prawnego znaczenia i nakazał matce, ażeby syna swego posyłała do szkoły ewangelickiej. Gdy się biedna matka do tego »ukazu« sądu opiekuńczego nie zastosowała, odebrano jej prawo wychowania swego dziecka i oddano je opiekunowi, który je oddał na wychowanie do ewangelickiej rodziny i zaczął je posyłać do szkoły ewangelickiej. Potem zażądał opiekun od matki wydania majątku po ojcu w gotówce, złożonego dla dziecka w kasie oszczędności, aby majątkiem tym pokryć koszta utrzymania i wychowania dziecka. Gdy się matka do życzenia tego zastosować wzbraniała, udał się opiekun za pozwoleniem sądu opiekuńczego na drogę sądową,

żądając chwilowo pewnej części majątku. I, o dziwo: sąd okręgowy skazał matkę na wydanie opiekunowi części majątku dziecka i zapłacenie kosztów procesu. Taka to swoboda religijna dla katolików panuje w Prusiech.

Napad bandytów. Potworną zbrodnię popełniono w nocy z 17 na 18 stycznia we wsi Borzęcin, w powiecie warszawskim, odległej od Warszawy o 20 wiorst. Pod lasem ożarowskim, na obszarze wsi Borzęcin, stoją dwa domki. W jednym z nich mieszka z rodziną gajowy, w drugim pisarze leśni. Owej nocy przyszli do gajowego trzej zbóje, związali jego i żonę, zakazali krzyczeć i wychodzić. Później wyszli, kierując się do sąsiedniego domku, w którym wkrótce rozległy się krzyki i wołania o pomoc. Potem wszystko ucichło. Gajowy leżał związany przez cały dzień i uwolnił się z więzów dopiero przed wieczorem; do domku swych sąsiadów, mówił, nie zajrzał, bo się obawiał, że ujrzy »coś strasznego«. Niebawem nadbiegli z pobliskiej wsi liczni włościanie i istotnie ujrzeli rzeczy straszne: Na podłodze, w kątach dwu izb, na tapczanach, w różnych pozycyach, ze zmiażdżonemi czaszkami, pogruchotanemi członkami, leżało bez życia w kałużach krwi, 8 osób, w tem troje dzieci. Ciała już zastygły. O ile zdołano, na razie, ustalić nazwiska zabitych, w domku mieszkali: pisarz leśny Weinberg z żoną, oraz drugi pisarz, Jankielewicz z żoną i czworgiem dzieci. Do domku przyszedł przed wieczorem na nocleg znajomy obu pisarzów, Erdenberg. Bandyci zamordowali wszystkich, z wyjątkiem 3 letniej córeczki Jankielewicza. Dotąd nie ustalono, czy i jaką sumę bandyci zrabowali. — Zdaje się wszakże nie ulegać wątpliwości, że napad był wykonany w celu rabunku.

Aresztowanie świętokradców z Jasnej Góry. Policya w Lublinie, w Królestwie Polskiem, trafiła na trop zbrodniarzy, którzy dopuścili się świętokradztwa na Jasnej Górze. Pierwsze ślady wskazała policya galicyjska. Znaleziono w Lublinie klejnoty, które cenią na 10.000 kor. To dało powód do drobiazgowych dochodzeń. Po nitce doszła tutejsza policya do kłębka. Aresztowano więc, po przeprowadzonej rewizyi, żyda, nazwiskiem Adler, u którego znaleziono sznury pereł, naszyjnik bryiantowy i liczne wota. Przesłuchanie Adlera trwało dwie godziny, poczem osadzono go w więzieniu zamkowem. Dla przypomnienia podajemy, że zaraz po świętokradztwie padło podejrzenie na zbiegłego ze Sybiru zbrodniarza, znanego pod nazwą Miłosza Kotosznika. Zbrodniarz ten włóczył się nazajutrz po świętokradztwie koło Częstochowy. W jakiś czas słuch o Miłoszu zaginął. Po Lublinie obiegała pogłoska, że wśród znalezionych u Adlera kosztowności była korona jasnogórska. Pogłoska ta się jednak nie sprawdziła.

Znęcanie się nad więźniami w Rosyi. — W mieście Kańsku aresztowano trzech urzędników, podejrzanych o kradzież z poczty 48 tysięcy rubli. Jeden z aresztowanych, Kołosow, w prośbie do ministra sprawiedliwości pisze dosłownie co następuje: »Aresztowano mnie i przywieziono do domu byłego żandarma Terskiego. Tam, w celu wydobycia odemnie zeznań, zawieszono mnie na wbitym w suficie haku z pierścieniami, wykręcano mi ręce, duszono za gardło, bito po bokach. Następnie zapalano ścierki i podkurzano mnie dymem. Podkurzanie to sprawiało mi takie męczarnie, że kilkakrotnie traciłem przytomność. Wówczas przywracano mnie do przytomności amoniakiem i dalej męczono. Męczarnie takie trwały 24 godziny«. Ładne świadectwo cywilizacyi w Rosyi, która mimo tak zwanej »konstytucyi« pozostała dalej krajem knuta, nahajki i dzikiego barbarzyństwa.

Pochłonięty przez ziemię. O strasznym wypadku donoszą z Sosnowca, w Królestwie Polskiem, miejscowości, gdzie znajdują się kopalnie węgla. — Wypadek ten zdarzył się na gruncie, należącym do sosnowickiego Towarzystwa kopalń węgla, gdzie, skutkiem wybrania węgla z wnętrza ziemi, zdarzają się często niespodziewane zapadania się gruntu. — W dniu 7 b. m. jeden z lekarzy sosnowickich, Dr. K. przechodząc po torze kolejki wąskotorowej, prowadzącej do przystanku kolei Dąbrowskiej, ujrzał straszne zjawisko. Oto ziemia na obszarze około 200 metrów kwadratowych poczęła raptownie zapadać się. W środku tego zapadającego się gruntu znalazł się na nieszczęście jakiś robotnik. Po chwili przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze; robotnik znikł w czeluściach zapadającej się ziemi. Zawiadomiony niezwłocznie zarząd kopalni »Jerzy« przysłał na miejsce kilkudziesięciu robotników, lecz o ratunku nie było mowy. Stwierdzono, iż żywcem pochłonięty przez ziemię nazywał się Kazimierz Mager, liczył lat 44, był robotnikiem kopalni »Alwina«.

Śmierć 12 dzieci w płomieniach. W czasie pożaru, jaki nawiedził wieś Strzelce pod Radomskiem, w Królestwie Polskiem, gdy rodzice i starsi byli nieobecni w domach, spaliło się dwanaścioro dzieci.

Dokuczania policyi rosyjskiej. Policya rosyjska w Lublinie, w Królestwie Polskiem, zażądała od piekarzy tamtejszych, sprzedających pieczywo na targach, aby napisy na karteczkach, nalepianych na chlebie, drukowane były obowiązkowo w dwóch językach t. j. nietylko polskim, ale i rosyjskim. Policya zagroziła, że chleb z napisem w samym tylko języku polskim, będzie konfiskowany.

Ostatnia usługa umierającego. Wysłany na zwiady mały oddział turecki podszedł za blisko stanowisk wojska włoskiego w Trypolisie, tak że Włosi wszystkich żołnierzy tureckich wystrzelali.



Jeden z nich wszakże ciężko ranny, choć śmierć już jęła mroczyć mu oczy, z nadludzkim wysiłkiem przycwałował na spienionym koniu do tureckiego dowódcy i ostatnie słowa, jakie powiedział, gdy go zesadzono z konia, były zameldowaniem, gdzie się i w jakiej liczbie Włosi znajdują. Spełnił żołnierski obowiązek i — skonał. Piękną tę chwilę przedstawia nasz obrazek.

W lwich pazurach. Pewna Angielka, nazwiskiem Barclay, hodowała w parku swego ojca, bogatego bankiera, lwią parę. Rozumie się, trzymała ją w klatce. Młode lwy zdawały się być tak oswojone, że panna wchodziła do nich bez obawy i nieraz spędzała z nimi dłuższe chwile. Wiedząc o tem jej brat, młody porucznik, przed paru dniami wszedł do klatki. W mgnieniu oka lew wpadł na niego, obalił i zaczął go szarpać zębami i pazurami. Na rozpaczliwe krzyki nadbiegła panna Barclay; lew dał się jej odciągnąć od swej ofiary; było już jednak za późno. Porucznik zmarł w strasznych cierpieniach.

Człowiek z kamienną twarzą. W jednym z londyńskich szpitali znajduje się od pewnego czasu chory, którego ciało formalnie kamienieje. Mięśnie jego zupełnie prawie zmieniły się w skamieniałą masę, mimo to jednak są czułe na uderzenia lub ściśnięcia. Nazywają go tam człowiekiem o »kamiennej twarzy«. Niezwykła ta choroba nie jest odosobnioną. W roku 1910 pokazywano w jednym z cyrków żywego »człowieka skamieniałego«. Skóra jego była tak twardą, że nie można jej było przekłuć najsilniejszą nawet stalową szpilką. O podobnym wypadku skamienienia mięśni donoszą z Nowego Jorku, gdzie niejaki Palmer zmarł skutkiem skamienienia mięśni, którego miał się podobno nabawić z reumatyzmu. W przeciągu kilku tygodni miał już tak zesztywniałe nogi, że nie mógł wcale chodzić, potem stracił władzę w rękach, wreszcie czucie na całem ciele. Mimo wszelkich usiłowań lekarzy, po 15 miesiącach cierpień rozstał się z życiem.

Lokomotywa z jabłek. Miasto kalifornijskie La Puebla de la Reina de los Angelos, co znaczy miasto Królowej Aniołów, słynie z obfitości i doskonałych gatunków owoców. Sąsiednie doliny, wielce malownicze, są pokryte winnicami, gajami pomarańczowemi i ogromnemi sadami. Zbiór owoców daje hodowcom rocznie przeszło 6 milionów dolarów; same pomarańcze przynoszą im do 1,300.000 dolarów. Corocznie też w Los Angelos urządzane są wspaniałe wystawy owoców, z nagrodami dla hodowców. W roku bieżącym pierwszą nagrodę przyznano hodowcy, który nadesłał na wystawę lokomotywę, zbudowaną z wyborowych gatunków jabłek. Pomysł prawdziwie amerykański. Los Agelos jest stolicą hrabstwa tejże nazwy i punktem zbieżnym sześciu kolei żelaznych. Całe miasto wprost tonie w bujnej roślinności. Rozwija się bardzo szybko. W r. 1880 miało 11.200 mieszkańców, a w r. 1908 przeszło 260 tysięcy. Budowle z gliny ustąpiły miejsca wielkim domom murowanym i pięknym pałacykom. Przemysł tu znaczny. Mieszkańcy zbywają mąkę, odlewy żelazne i wyroby wełniane. W okolicach znajdują się także bogate pokłady nafty i asfaltu. Łagodny klimat (w styczniu 12 stopni ciepła, w lecie 20) sprowadza do miasta zimą wielu przyjezdnych.

Poradnik teatrów i chórów włościańskich. Organ Związku teatrów i chórów włościańskich, wyszedł w potrójnej objętości za miesiąc wrzesień, październik i listopad. Obfita treść ostatniego numeru „Poradnika“ informuje z jednej strony o działalności ludu na polu organizowania teatrów i chórów włościańskich, z drugiej zaś poucza amatorów o sposobach urządzania przedstawień. Do pierwszej części należy St. Niewiadomskiego »Misya Namysłowskich“, W. Gomułkiewicza »Nasze miasteczka wobec teatru włościańskiego« oraz liczne korespondencye; na część drugą składa się pouczający artykuł: Jak grać i jak wystawiać obraz dramatyczny p. t. „Chrzest w ogniu“ oraz Fr. Kruczkowskiego „Z zapisków reżysera“.

Zeszyt rozpoczyna wiersz K. Gaszyńskiego »Olszyna Grochowska“, który nadaje się do wygłaszania na obchodach narodowych. — Nadto znajdujemy tu artykuł p. t. »Upadek śpiewu ludowego«. Autor stwierdza upadek pieśni ludowej zarówno świeckiej jak i kościelnej, podaje przyczyny tego upadku i wskazuje środki zaradcze. Domaga się więc między innymi wydania autentycznych śpiewników kościelnych, któreby zapobiegły dowolnym a często nieuzasadnionym zmianom tekstu pieśni, oraz wprowadzenia systematycznej nauki śpiewu na wsi, czem się powinni zająć księża i organiści. Zachęca też autor do zakładania w całym kraju „Kółek śpiewaczych“, których celem byłoby pielęgnowanie pieśni ludowej. Zeszyt zamyka obfity przegląd sztuk do grania oraz kronika.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Franciszek Zydroń w W.: Zagadki i wiersze umieścimy, rebus nie da się zużytkować. — Biedny Wojtek: Owszem, prosimy pisać więcej. A czemu siostra Pańska w Trz. „Roli“ nie czyta? — Teofil Tryczyński w N.: Wiersz będzie w przyszłym numerze, »Poświęcenie« nieco później, aż zaległości wyrobimy. — Stefan Sikora w M.: Wierszy mamy bardzo dużo, trudno więc oznaczyć, kiedy który będzie drukowany. Okładek mamy jeszcze kilkadziesiąt. — Tomasz Brożek w P.: Maciek do Bośni nie pojedzie, ale za zaproszenie serdecznie dziękuje. — Władysław Lynczyński w B.: Bardzo to źli przyjaciele, którzy od czytania dobrych rzeczy odwodzą — widocznie z zazdrości nie chcą, aby ktoś był od nich mądrzejszy. — Joanna Siuda w Ł.: Miły wierszyk zachowamy na maj. — Adam Jesionek w Ch.: Marki otrzymaliśmy, nagroda konkursowa wysłana. Za wiersz dzięki. — Wiktor Bułka w M.: Szarady dobre, umieścimy, prosimy jednak w przyszłości pisać po jednej stronie papieru. — Marcin Jasieńko w M. G.: Kalendarz wysłaliśmy jeszcze 5 stycznia, obecnie wysyłamy drugi przez Dyrekcyę poczt. — Arkadyusz Szarek w S. W.: Nagrodę konkursową odwrotnie wysłaliśmy. — Jakób Horsky w P.: Dziękujemy za tak miłe słowa. — Józef Kobylański w C.: Otrzymaliśmy. — Franciszek Siekaniec: Otrzymaliśmy, powoli pójdzie. — Władysław Wołowiec w S.: Owszem, prosimy pisać i przysyłać a o ile będzie dobre, wydrukujemy. — Jan Świątek w Ż.: Ładne wierszyki otrzymaliśmy i chętnie je wydrukujemy. — Tadeusz Kępa w W., Wojciech Tylka i Jan Bojda w C.: Kroniki są w numerze. Na pytania p. Bojdy odpowiadamy, iż każda kronika liczy się osobno. Nagroda zależy od ilości nadesłanych kronik i od ich dobroci. — J. Majcher: Wiersze wydrukujemy. — Jan Walczak: Opowiadanie otrzymaliśmy. — Jan Bajok w R.: W tym roku kalendarzy ściennych nie rozsyłaliśmy. — Piotr Lipowiak w L.: Na przesyłkę nagrody konkursowej trzeba przysłać 50 halerzy. — Franciszek Markiewicz w L.: Za ładne podziękowanie serdecznie jesteśmy wdzięczni. Może umieścimy. — Franciszek Chromik z Z.: Artykulik otrzymaliśmy i dziękujemy. — Józef Kapuściński z L.: I my mamy również tę nadzieję, że ludzie zmądrzeją i zamiast na pijatyki będą obracać pieniądze na książki i gazety. Że los Pana minął, bardzo nam przykro, ale będziemy się starali w inny sposób odwdzięczyć się za wszystko, co Pan robi dla »Roli«. — Jantek z Bugaja: Otrzymaliśmy i umieścimy. „Karnawał“ zupełnie dobry, acz dla »Roli« trochą zatrudny. Los poszczęścił, gdyż na numer 916 została wygrana książka do nabożeństwa. — Walenty Pasierb w Cz.: Otrzymaliśmy, za pamięć dziękujemy. — Mikołaj Wyżykowski z R.: Maciek dziękuje za przesyłkę. Kiełbasa wyśmienita.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty.

Półroczną prenumeratę nadesłali PP.:

Fijak Marya z P., Pieńczak Wal. z D., Wilk Franciszek z S., Nowak Franc. z J. (2.50), Urbańczyk Józef z O., Prof. Ludw. Młynek z D, Rejkowicz Julian z Z., Adamaszek Ludwik z G., Grądalski Jędrzej z K., Kuźma Wilhelm z S., Fila Jan z B., Janusz Tom. z R., Fixek Elżbieta z C. (2.50), Bogusz Szczepan z K. (2.40), Miasko Piotr z M., Kurpiel Józef z P., Zrasik Kazimierz z Z. (2.40). Perówna Anna z P., Pitowski Józef z D., Niedzielski Antoni z N., Strządala Józef z D., Migrała Stanisław z J., Tow. Szk Lud. z K., Jonos Kozok z T. D., Cebula Józef z S., Golonka Jan z M, Gaboński Jakób z R., Namysłowski Wincenty z D., Lubera Stanisł. z C., Pollak Franc. z G., Hawrylewiczowa Józefa z C., Frączek Józef z P., Polek Jan z W., Ukleja Andrzej z W., Kras Maksym. z Ch., Marszałek Józef z M., Orszulak Jędrzej z W. (2.50), Styka Józef z M., Żabski Józef z B. (2.50), Hebda Piotr z W., Machlowski Józef z J. (2.50), Chorzępa Antoni z N.

Małoga Józef z S. (1.50), Nawarecki Alojzy z P., Gać Kazim. z W., Słomba Michał z K., Michalczyk Piotr z B., Dułak Fr. z S, Ordow Szymon z Ch., Kukulski Michał z B., Nowara Maciej z B., Rohak Władysław z S., Hajowy Józef z P., Kaczka Walenty z H., Mars Jan z M., Kuziora Wojciech z D., Kwaśnik Karol z K., Krisch Franciszek z S., Maziarz Józef z Z., Nowak Władysł. z B., Głowacz Jan z Ż., Raś Józef z O.

Tow. gimn. Sokół z P. (3), Wilk Antoni z Rumunii (4.50), Selkówna Wanda z R. (3),

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 23 stycz.

Pszenica	Kor.	11·70	do	11·90	za 50 kg.
Żyto	„	10·—	„	10 50	„
Jęczmień	„	9.20	„	9·90	„
Owies	„	9·15	„	9·60	„
Otręby pszenne	„	7 10	„	7·20	„
Otręby żytnie	„	7 15	„	7 25	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 23 stycznia:

Buhaje	Kor.	110	do	200	za sztukę
Woły	„	230	„	400	„
Krowy	„	130	„	300	„
Jałówki	„	120	„	240	„
Cielęta	„	25	„	84	„
Owce i kozy	„	18	„	26	„
Świnie bita waga)	„	124	„	140	za 50 kg

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.
(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Pierwsza i trzecia przydać ci się może,
Gdy się wybierzesz gdzieś w daleka drogę,
Trzecia i pierwsza zdobi twoje łoże,
Odgadniesz prędko porzuć wszelką trwogę,
Druga zaś sama znajdziesz na okręcie,
Na całość szedłeś przy dorocznem święcie.

2. KWADRAT.
(Ułożył Antoni Żelazny).

.	.	.	.	.	.	.	.
—	.	—	—	—	—	—	—
—	—	.	—	—	—	—	—
—	—	—	.	—	—	—	—
—	—	—	—	.	—	—	—
—	—	—	—	—	.	—	—
—	—	—	—	—	—	.	—
—	—	—	—	—	—	—	.

Szukany wyraz. Wieś w okolicy Krakowa. Nakrycie głowy. Miasto w Galicyi. Duchowni świeccy. Imię żeńskie. Człowiek zajmujący się wysyłaniem towarów. Gatunek jaszczurki.

Kropki i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd poziomy i poprzeczny w miejsce kropek poda nam imię dzielnego wojownika z końcem XVIII a początkiem XIX w.

3. PRZESTAWIANKA.
(Ułożyła B. Moroniówna).

Biar, ca, co, choć, cios, dłu, dość, jej, jest, ka, ko, ku, ły, ły, ma, mi, mło, nie, nie, prze, rzeź, sa, szpar, ta, trwa, wa, wiecz, wot, wy, ży.

Z powyższych zgłosek ułożyć piękny wiersz Zygmunta Krasińskiego.

4. SZARADA.
(Ułożył Jan Pożdał).

Pierwsze drugie w mowie ujete,
Drugie trzecie woda zajęte,
Kto trudu troszkę dołoży,
A całość sama się złoży.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 3 lutego 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 1 »Roli«:
1. Zagadka rachunkowa:

1	2	3	4	5	6	7	28
3	4	5	6	7	1	2	28
5	6	7	1	2	3	4	28
7	1	2	3	4	5	6	28
2	3	4	5	6	7	1	28
4	5	6	7	1	2	3	28
6	7	1	2	3	4	5	28
28	28	28	28	28	28	28	

2. Szarada: **Sambor,** 3. Szarada: **Literatura,** 4. Trójkąt magiczny: **Malczewski,** 5. Szarada: **Pierogi,** 6. Szarada: **Tartaki.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

Hejże „Rolo“ nasza „Rolo“!
Dobry plon wydajes,
Gois rany, co nas bolą,
Jesteś polskiej ziemi sola
A jesce co dajes:
Cytelnikom podarunki
W formie rozmaitej;
Za zagadki, za frasunki
Sypies w ksiązkach podarunki
Tresci wyśmienitej.
Od Radłowa jestem rodem,
Chociaż w Czarnej żyję.
Literatura powodem,
Ze ta człowiek mimochodem
Swe przezwisko kryje.
Zeby ja to był malazem,
Jak Malczewski sławny;
Tobym obraz za obrazem
Kończył pędzlem, nie zelazem,
Bo ja znom cas dawny!
Lec ze mnie parobcak taki,
Tylko jeść pierogi,
Bo człek lubi te przysmaki
W zołądkowe pchać tartaki
I w kiski niebogi.
Nie skąp dobry Redaktorze
Tej ksiazecki marnej,
Oto prosi Cię w pokoze
Biedny
Walek z Czarnej.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Ant. Żelazny z R., K. Kuntschke z M. K., Zofia Pawłowska z Z., Marya Klepacka z S., R Kula z M. K., J. Majcher z T., Fr. Teper z M. K., K. Szeliga z B., Jan Tomczuk z S., Wawrz. Potoczny z H., Józef Pękala z H., J. Bąbaś z O., Piotr Bochnia z T., Karol Powroźniak z S., Józefa Hirszberg z K., Zofia Oraczewska z Ż., Barbara Palichleb z S., Adela Bezokówna z K. M., Anna Żebrok z B., Fr. Zydroń, Piotr Świrad, J. H. Łukasiewiczówna, K. Szpunar, A. Szarek z S. W.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** wylosowała p. **Zofia Oraczewska** z Ż., zaś drugą p. t. ***Szwoleżer Stach*** **Barbara Palichleb** z S.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Red** **St. Bassara.**
Drukarnia „Czas“ **tem Aleksandra Świerzyń**